MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 4. WARSZAWA, 26 STYCZNIA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

OBOWIĄZEK ZWYCIĘZCÓW

WYPADKIEM, nad którym nie powinno się przejść do porządku, wypadkiem o znaczeniu głębszem, niż ten lub ów odczyt ministerjalny, były ostatnie wybory do Naczelnego Komitetu Akademickiego. Wie już teraz najszerszy ogół, że kilkudziesięciotysięczna rzesza akademicka, z której za lat 5 czy 10 wyłonią się tysiące inżynierów, pedagogów, lekarzy, rolników, prawników, uczonych, działaczy społecznych i politycznych, ma swe oblicze, swój wyraz i przez to samo, chociaż czynnej polityki partyjnej nie prowadzi, wywiera jednak pewien nacisk na życie polityczne. Daremnie boczą się pomniejsze grupki studentów na Naczelny Komitet Akademicki: im usilniej pracują pewne czynniki nad duchowem rozbijaniem starszego pokolenia, tembardziej dobro kraju wymaga, aby przynajmniej młodzież studjująca przemawiała wspólnym językiem i aby ów język brzmiał donośnie, ażeby łatwo było odróżnić, co jest wołaniem ogółu, a co pomrukiem luźnych grupek opozycyjnych. Daremnie pewne sfery nauczycielstwa szkół średnich ratują się od dymisyj i przenosin układaniem przemówień na rocznice i galówki, darmo rozdają uczniom ilustrowane panegiryki: uczeń panegiryk weźmie, wierszyk wydeklamuje, ale jeszcze przed maturą zada sobie pytanie: „jaką ma być ta nasza Polska?" — a po wejściu w podwoje wyższej uczelni odpowie razem ze starszymi kolegami: „ma być narodową, katolicką i praworządną". I tego głosu nie zagłuszy żaden odczyt, nie stłumi żadna konfiskata.

Ale każde zwycięstwo zobowiązuje. Zastanówmy się, do czego mianowicie zobowiązuje zwycięstwo narodowców na wyższych uczelniach.

Z wywodów pana ministra Czerwińskiego utkwiło nam w pamięci jedno dość trafne rozróżnienie — między typem bojownika i pracownika. W społeczeństwie starszem wolałby, zdaje się, pan minister widzieć skrystalizowany typ pośredni, z przewagą jednak bojownika nad pracownikiem; wśród młodzieży lepiej mu się podobają pracownicy. Otóż ludzie, tak jak ich Pan Bóg stworzył, są skłonniejsi do światoburstwa za młodu, a do pracy, zwłaszcza zarobkowej, w wieku późniejszym. Tylko, że owo światoburstwo w jednych wypadkach walczy ręką, kiedyindziej głową.

Lat temu sto sześćdziesiąt, kiedy cała Polska pierwszy raz powstawała przeciw moskiewskiej tyranji pod znakiem Baru, a Kraków uśmierzony znosił ciężar obcej okupacji, pewien patrjota nazwiskiem Wybranowski utworzył wśród słuchaczy Akademji Krakowskiej spisek pod nazwą „kompanji". Bojowa ta kompanja miała w oznaczonym dniu rzucić się na załogę rosyjską i rozbroić ją z pomocą kilkuset konfederatów, których od Częstochowy miał przyprowadzić pułkownik Trzebiński. Spisek został wykryty, studenci poaresztowani, a nieszczęsny Wybranowski skatowany bez litości i wywieziony na Sybir, skąd już nigdy nie miał powrócić. Wiedziała carowa Katarzyna, że Polakom, gdy się upokorzą, można wszystko wybaczyć, tylko nie można tolerować patrjotycznych spisków wśród młodzieży akademickiej. Od owych bowiem krakowskich studentów poszła nowa tradycja, z gruntu odmienna od dawnych tradycyj burd przeciwko dysydentom i jeszcze lichszych żakowskich wybryków bez żadnego ideowego podłoża: bez spisków młodzieży bojującej wolna Polska byłaby nie do pomyślenia.

Jeszcze wcześniej, bo w roku 1757 widziała Warszawa scenę następującą: liczne grono magnatów, tych wielkich statystów, co przez swe kłótnie obrócili państwo w karczmę zajezdną dla wojsk walczących w wojnie siedmioletniej, zasiadło na widowni *Collegium Nobilium* w otoczeniu szlachty, księży i wszelakiej publiczności, by słuchać, co powiedzą gołowąsy „O uszczęśliwieniu własnej oj-

czyzny". A młodzi kawalerowie omawiają po kolei znaczenie praworządności i wychowania narodowego, wchodzą w politykę zewnętrzną, żądają uwolnienia i uwłaszczenia chłopów, powściągnięcia gdańszczan i żydów, oszczędności w gospodarstwie prywatnem, karania niesumiennych sędziów, potępiają najsurowiej psucie sejmów, bo „sejmy psować jest to psować radę, a znosić i psować radę jest to znosić i psować... Rzeczpospolitą". Czytelnik chyba wie, że tym śmiałkiem, co wbrew woli starszych wciągnął młodzież warszawską w politykę, był najmędrszy Polak owej doby, Stanisław Konarski. Od niego poszła druga tradycja naszej młodzieży, też obowiązująca po dziś dzień: że trzeba walczyć głową, a nie tylko ręką, trzeba iść naprzód i świecić.

Mówiło się dużo przed 30 laty o naszej pajdokracji. Ludzie, którzy poza pajdą chleba nie widzieli świata Bożego, mieli do zarzucenia młodzieży, że swemi spiskami i manifestacjami psuje „realną" politykę jedynie uprawnionych konspiratorów ugodowców. Inni są zdania, że po odrodzeniu Państwa Polskiego młodzież akademicka nie ma w polityce nic do powiedzenia: na to przyjdzie czas po ukończeniu studjów. Minister Czerwiński poglądu tego nie podziela, sądzi jednak, że jedynym czynnikiem, uprawnionym do kształtowania ideologji obywatelskiej młodzieży, jedynym spadkobiercą Konarskiego jest w naszej dobie każdorazowy, zmienny co osiem miesięcy minister wyznań i oświecenia, więc pan Mikułowski-Pomorski, Bartel, Sujkowski, Dobrucki, Świtalski, Czerwiński. Syzyfowe byłyby to prace. Młodzież we wszystkich krajach i czasach jest wyrazem (żeby nie powiedzieć: „kwiatem") świtającego jutra c a ł e g o s p o ł e c z e ń s t w a, a nie rządu, nigdy zaś nie bywa wyrazem ducha rządu, walczącego ze społeczeństwem. U nas szczególnie, póki mamy złych sąsiadów, młodzież zgodnie z tradycją 1769 roku jest współodpowiedzialna za całość i bezpieczeństwo ojczyzny. A póki starsze pokolenie cierpi na bezwład i polityczną bezmyślność, niepodobna młodzieży odmówić prawa samodzielnego myślenia o tem, jaką Polska być powinna, zupełnie jak tego uczył Konarski. Im więcej też kąkolu i blekotu siać będą te czy owe mafje w nasze społeczeństwo, im więcej będzie konfiskat i postrachu, tem stanowczej i zgodniej powtarzać będzie młodzież swoje polskie *„credo"*.

Ale, raz jeszcze, zwycięstwo zobowiązuje. Młodzież narodowa nie po to tylko zdobyła przewagę, aby wiecować, obnosić transparenty i oblęgać aż do kapitulacji kawiarnie, zanieczyszczone kiepskim duchem. Ma ona dać krajowi nie jedną „kompanję" działaczy politycznych i legjony pracowników społecznych. Do tego zaś potrzebne jest specjalne wychowanie polityczne. Kształcimy się w kierunku politycznym na różnych piętrach. Nawet w szkole powszechnej są wykładane zasadnicze pojęcia o państwie, konstytucji, obowiązkach obywatelskich; w szkole średniej abiturjenci kują setki stronic nauki obywatelskiej, nieco przeładowanej geografją, statystyką, administracją. Dla ukończonych wychowanków uniwersytetów istnieją szkoły Nauk Politycznych. Podzielamy z panem ministrem obawę, czy nadmiar suchych formuł i faktów nie obrzydzi maturzystom przedmiotu, który powinienby pociągać każdego bez wyjątku wchodzącego w życie młodzieńca; życzylibyśmy, owszem, pogłębienia już w szkole średniej pracy myślowej nad tem, co być powinno, a nietylko nad tem, co jest. Lecz tu nasuwa się inna wątpliwość: czy ta wtłaczana w umysły przez każdego zmiennego ministra ideologja obywatelska wyjdzie na zdrowie przyszłym obywatelom, czy ich poprostu nie znieprawi, jeżeli się do niej przyczepi uparta rachuba: chcesz dostać posadę, to przyjmuj bez zastrzeżeń idee ostatniego okólnika? W ten sposób praca tylu nauczycieli obywatelstwa poszłaby na manowce. Na niższem piętrze jeszcze gorzej. Obawiać się należy, że państwo, w którem tylko minister, wojewoda, starosta, komisarz, ostatecznie policjant chodzić będzie w glorji autorytetu, a parlament będzie przedstawiany jako czynnik antypaństwowy, kościół odepchnięty od wpływu na wychowanie, sąd poklócony z sumieniem, nauczycielstwo ujarzmione; gdzie siłę rządu demonstrują białe plamy i rozbijane zgromadzenia ludowe, że takie państwo siły przyciągajacej na umysły nie wywrze, i papierowa nauka obywatelska, sprzeczna z życiem, pójdzie w las. Co się zaś tyczy Szkół Nauk Politycznych, te obliczone są przeważnie na kształcenie dyplomatów, ministrów, wojewodów, więc swego światła po całym kraju bezpośrednio nie rozniosą.

Polska potrzebuje conajmniej setek woluntarjuszy, którzyby zdrowe ziarno idei narodowej z młodzieńczym, bezinteresownym zapałem rzucili w kraj. Ten nakaz sformułował niedawno w obliczu „Świtu Lepszego Jutra" Roman Dmowski. Czyżby wśród kilkunastu tysięcy studentów narodowców, którzy zwyciężyli w wyborach listopadowych, miało tych setek zabraknąć? Wierzymy, że ich nie zbraknie, ale dlatego właśnie byłoby grzechem nie do darowania, gdyby ludzie świadomi swych zadań wychowawczych w obu pokoleniach pozwolili żywiołom gotowym do pracy, lecz nie umiejącym jeszcze do niej przystąpić, zmarnieć.

Na wychowanie polityczne składają się dwa pierwiastki: wykształcenie i wychowanie właściwe. Oba w różnym stopniu potrzebne do spełniania głównych funkcyj zawodu politycznego, jakiemi są: publicystyka, praca w parlamentach i samorządach, organizacja stronnictw i innych związków, agitacja wyborcza. Nie ulega wątpliwości, że najważniejsza jest tu polityka, ale musi ją poprzedzać odpowiednie wykształcenie polityczne.

Skąd go zaczerpnąć? Szeroki ogół orjentuje się w zagadnieniach politycznych niemal wyłącznie według gazet codziennych. Pochłaniamy masami artykuły frontowe, depesze, polemiki, ugryzki, plotki, z których po tygodniu nie zostaje w głowie nic. Jedna aktualność goni drugą, spala ją i zaciera. Poczytność tygodników i miesięczników, poświęconych poważniejszym, nieprzemijającym kwestjom, jest skromna. Mówiąc po gospodarsku: dużo paszy objętościowej, mało treściwej. Jeżeli to jest prasa niezależna i uczciwa, zostaje z niej osad zdrowy, jeżeli sprzedajna — całkiem bezwartościowy lub szkodliwy. Ludziom gotowym, bez przyszłości, pokarm taki wystarcza; młodzieży wystarczać nie powinien. Jeżeli ma ona zdobyć kiedyś dla Polski wsie i miasta, to musi się zaopatrzyć w amunicję trwalszą, niż ta, którą strzelają do siebie dziennikarze. Młodzież powinnaby dostarczać głównego zastępu czytelników poważnych czasopism, dla niej przedewszystkiem istnieje publicystyka cięższego, książkowego kalibru, wśród której dorobek kierunku narodowego, mówiąc bez samochwalstwa, przedstawia się najpoważniej.

Mała to będzie pociecha, gdy z czasem w historji naszej literatury politycznej dzieła Popław-

skiego, Balickiego, Dmowskiego, obu Grabskich, Z. Wasilewskiego, Rybarskiego, Joachima Bartoszewicza, Dubanowicza zajmą miejsce poczesne w jednym szeregu ze Staszicem, Kołłątajem, Mochnackim, jeżeli ich ożywczy sok nie wsiąknie głęboko w umysły. Powinny więc powstawać przy oddziałach Młodzieży Wszechpolskiej i Obozu Wielkiej Polski bibljoteki polityczne, złożone z traktatów i broszur, na prowincji mniejsze, w miastach uniwersyteckich większe i wszechstronniejsze. Nie zdobędziemy bowiem Polski, nie znając też z pierwszej ręki oręża przeciwników; dopiero w zestawieniu z przeciwnym lub odmiennym poglądem liberałów, socjalistów, radykałów, sanacyjnego pokoju konserwatystów, pogląd nacjonalistyczny zarysuje się wyraźnie i dopiero po odparciu tamtych idej można pewnym krokiem iść do zwycięstwa w robocie propagandowej.

Do należytego przetrawienia zasad i faktów służyć winny kółka dyskusyjne na dwojakim poziomie: początkujący rozprawialiby w nich o teorjach, o niedawnych a ważnych po dziś dzień przeżyciach narodu, starsi próbowaliby samodzielnie rozstrzygać zagadnienia przyszłości — właśnie tak jak bywało w szkole Konarskiego. Słychać o podobnych kółkach, prowadzonych różnemi czasy przez wybitnych polityków polskich; że jednak wybitnych kierowników, wszechstronnie kompetentnych, nie wszędzie można znaleźć, należy dążyć do zorganizowania w tego typu „seminarjach politycznych” zbiorowego kierownictwa, z dorywczym udziałem znawców różnych spraw politycznych, ustrojowych, międzynarodowych, gospodarczych, kulturalnych etc.

Dopiero wzbogacony takiem teoretycznem przygotowaniem i wzbogacając się potrosze w dalszym ciągu, młody narodowiec wstąpi do najważniejszej szkoły wychowania politycznego — praktycznej. Jeden, zależnie od areny działania, będzie potrzebował wiedzy więcej, inny mniej; ale bez dobranego zasobu wiedzy w XX wieku do polityki przystępować nie sposób. Bez niego dziennikarzowi oschnie pióro, mówca przy największym zapale nikogo o niczem nie przekona, organizator nie zrozumie życia, które próbuje ulepszyć i opanować. Wyjątkowo zdarzy się komuś współpracować pod kierunkiem doświadczonego polityka, przeciętny działacz, wysłany na prowincję, dobrze zrobi, gdy zacznie od popularnych, rzeczowych wykładów, a nie od gadatliwych wieców przedwyborczych.

Ale to już są szczegóły, których tu ani wyczerpać, ani — w braku własnego doświadczenia — dostosować do głównego celu nie potrafimy. Głównym celem powinno być spożytkowanie dla dobra Polski gotowego, lecz jeszcze surowego materjału skłonności narodowych w przeważnym odłamie naszej młodzieży studenckiej. Chodzi o to, aby zarówno przyszli kierownicy, jak wykonawcy polityki narodowej już dziś uświadomili sobie lepiej swe zadanie, tudzież o to, by im w pracy przygotowawczej dopomogło moralnie i materjalnie starsze społeczeństwo. Dlatego poruszyliśmy sprawę w „Myśli Narodowej”, mając nadzieję, że dyskusję podejmą inne organy kierunku narodowego, zwłaszcza zaś własne wydawnictwa młodzieży.

Łączy się z tym głównym celem bliższy i poniekąd uboczny. Liczbami nie należy się upajać: kilkanaście tysięcy głosów łatwo stopnieje do kilku, jeżeli zacne uczucia nie znajdą podkładu w mocnych wiązaniach ideowych. Jakkolwiek trudno jest wnioskować o duszy teraźniejszego studenta według własnych wspomnień z przed lat 30, jedno wydaje się niezmiennem: że w zawodzie akademickim, gdzie cnotą cenioną jest krytycyzm i samodzielność myślenia, jednostki zdolne niechętnie poddają się kierownictwu ludzi, którzy przy mocnych zasadach reprezentują mały zasób wiedzy. Najczęściej trzymają się one w rezerwie, i mają do tego lepsze prawo, niż ich rodzice i starsi krewni, niby to wyrobieni, a ciągle chorzy na bezpartyjność. Nic nie świadczy o tem, by grupki lewicowe, „sanacyjne“ czy „mocarstwowe” więcej czytały lub lepiej ściągały do siebie młodociane talenty, niż się to udaje narodowcom. To jednak nam nie wystarcza. Pragnąć należy, aby liczna i karna młodzież narodowa nietylko w dalszym ciągu dorównywała swym współzawodnikom inteligencją, ale żeby do swej przewagi charakterów dodała przewagę wiedzy i talentów.

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

MOCARSTWOWO NA BAŁAŁAJCE

DRUGI z kolei zbiorek artykułów p. Stanisława Mackiewicza: „Dziś i jutro“ [1]) — przed dwoma laty wyszły „Kropki nad i“ — to pokusa dla recenzenta, żeby w szkicu syntetyczno-krytycznym narysować sylwetkę polityczną aktywnego publicysty, piszącego „pod wschodnią ścianą cywilizacji“. Lecz jak „Kropki nad i“, tak „Dziś i jutro” uwagę krytyka skupiają przedewszystkiem nie na zagadnieniach politycznych lecz... formalno literackich. Jest to pewna monumentalność pisarza, że nawet poprawi treść artykułów przed wydaniem w postaci książkowej, poskraca niejedno, wycofa niektóre twierdzenia (np. pierwotną, zbyt zabawną tezę, że Dmowskiego dzieło o „Polityce polskiej“ to rzecz na poziomie przeciętnej powojennej literatury pamiętnikarskiej) — ale całe gawędziarstwo, całą rozlewną potoczność i wszelkie niedbalstwo stylistyczne — zachowa. Posągowość jego — właśnie w kolokwializmach. „To jest myśl wielka. Lecz mózg Sazonowa nie był w stanie jej opanować. Hr. Witte ten to co innego“ (s. 175). — „Pacyfizm europejski wypływa, naszem zdaniem, z dwuch źródeł: źródło pierwsze — to Francja... źródło drugie — to rywalizacja Europy z innemi kontynentami...“ (s. 18). — „Rola Stanów... jest więc pierwszym potężnym klinem... Ale teraz przychodzi klin drugi...“ (s. 32). A w klinie tym — dodajmy stylem „Kropek nad i” — jest cały pisarz, a przynajmniej cała właściwa oryginalność pisarza, któremu ciąży surowsza dyscyplina stylu.

Niestety, to upodobanie do form luźnych zbyt często każe styliście dalej iść w pobłażaniu i tolerować usterki, szczególnie już opłakane „pod wschodnią ścianą cywilizacji“. Kto Wilno poczytuje za rezerwat polskości, temu nie przegląda cenny regjonalizm z wyrażeń: „damę..., imię i nazwisko której...“ (s. 64), — „heroizmu, podobnego któremu...“ (s. 43), „problemy, od załatwienia których...“

[1]) Stanisław Mackiewicz. Dziś i jutro. Wilno, 1929.

s. 81), „szeroko dla lotu zrywał skrzydła orzeł...” (s. 149). Za dużo tych i tym podobnych rusycyzmów, żeby uwaga mogła oddać się wyłącznie polityce, — a i tak raz wraz oderwą ją od tematu nieskąpo rozsiane przykłady rozmaitego niedbalstwa w wysłowieniu, — niedbalstwa, którego siła niewątpliwego talentu p. Mackiewicza nie przemogła. Kto krzyknie z przerażenia, przeczytawszy, iż przymierze z Francją „nam daje same minusy“ (s. 50), skoro przedtem już czytał o... „tej niemożliwości francuskiej prowadzenia wojny“ (s. 21)? W kim troska o polszczyznę nie weźmie chwilowo góry nad troskami politycznemi, gdy literatura zawoła o swoje zdaniami: „zawidniał strach przed siłą tajemniczą...” (s. 194), „... ogranicza się do rzucania jaknajwięcej kamieni...” (s. 195), „mężczyzn, którzy nie szukają brawury przeciw śmierci” (s. 191), „przykładem tych banalnych... nie szlaków, lecz rowów” (s. 68), „nie prowadzi do niczego, prócz do bezpłodnego podniecania“ (s. 200), „Rosja biła się z Niemcami tylko dla pozoru i dla gazet“ (s. 168), „otwieranie w historji Polski książki z nowami zamachami stanu ze wszystkich stron udanemi, nieudanemi i usiłowanemi“ (s. 205), „Twórczość cudza jest jakgdyby tą siatkówką oka, na której powstaje dopiero obraz przez siebie widziany“ (s. 189), „ Źle się pamięta dzieje dni niedawno odległych“ (s. 161), „ten autorytet tej sprężyny został rzucony w błoto“ (s. 137), „Ale w swojej karcie drugiej Piłsudski idzie dalej“ (s. 135), „niezwykle ujemnie odbiły się fakty, których istotą nie było działanie, lecz nie działanie“ (s. 125) — i t. p.

I nie koniec na tem. Brak dyscypliny słowa w konsekwencji niejednokrotnie zaznacza się dotkliwie również brakiem dyscypliny — myślowej. P. Mackiewicz szafuje nieraz słowami i frazesami, których nie rozumie, lub nad których znaczeniem nie zastanowił się, gdy mu się nawinęły pod pióro. Gdyby było inaczej, czy mógłby zbłąkać się do książki taki np. urywek: „Bismark to jakby gotyk, ale gotyk nie katedry czy średniowiecznego tumu, tylko późny gotyk Kirche protestanckiej, gotyk bez natchnienia i mistycyzmu, z którego wyniesiono „złotą różę“ Papiestwa, strzelistość i nadziemskość linij którego przerodziła się już tylko w twardość i kanciastość“ (s. 100 — 101). Pomińmy usterki polszczyzny — ale jaki sens ma przypomnienie „złotej róży“, — podarku papieskiego dla dostojniczek świeckich (ostatnio ofiarowanego królowej włoskiej Helenie)? I jaką wartość mają syntezy, podobne tej np., że „Sobieski to barok, może miły... lecz zawsze barok, a więc rozwiązły i rozpasany“ (s. 101)? Poco do historji kultury wprowadzać tej klasy uogólnienia (dwa — o Sobieskim i baroku)?

Polityczne tezy p. Mackiewicza częstokroć mają wartość powyższych uogólnień z dziedziny historji kultury. I tam znać niedyscyplinowanie myśli, niestawianie jej większych wymagań. Bo np. finalna teza, że Liga Narodów to „anglo franko-niemiecka kooperacja“ (s. 11), to właściwie tylko punkt wyjścia do rozważań. Chodzi właśnie o to, jak daleko sięga i sięgać może tych państw kooperacja, w jakiej mierze termin odpowiada rzeczywistości, w jakiej zaś ją zakrywa... Tych, podyktowanych logiką, refleksyj właśnie nie znajdujemy — bez nich termin zostaje tylko frazesem... A czy nie jest nim także najgłośniejszy postulat p. Mackiewicza: „uaktywnienia polskiej polityki zagranicznej“, zwłaszcza gdy się uważa, że „w stosunku do Niemiec nasz program został s t u p r o c e n t o w o spełniony“ (s. 102), a „uaktywnienie“ wyrazić ma się przedewszystkiem „wysunięciem przez Polskę sprawy Anschlussu na forum międzynarodowe“?

Sposób, w jaki omawia autor sprawę „Anschlussu”, okazuje, że starcza pisarzowi energji umysłowej, żeby wyliczyć szereg problematów, nie starcza, ażeby je przemyśleć konsekwentnie i wyprowadzić konkluzje. W danym wypadku myśl zgubiła się, zanim związała się z głównym problemem. P. Mackiewicz zapomniał, o czem sam pisał poprzednio — że dla Niemców sprawa przyłączenia Ausrtji względnie aneksji Pomorza — to sprawa k o l e j n o ś c i urzeczywistniania postulatów. Można uważać przyłączenie Austrji do Niemiec w bliższej lub dalszej przyszłości za nieuniknione, a jednak nie widzieć racji, dla którejby specjalnie „Anschluss“ przyśpieszać. P. Mackiewicz zapomniał— i widać myśli, iż Niemcy także zapomną, skoro zaręcza: „Zwrócenie przez Anschluss zainteresowań politycznych Niemiec ku południowi, odwrócenie przez Anschluss ekspansji niemieckiej od naszego kraju są to g w a r a n c j e r e a l n e, rzeczywiste, polityczne“... (s. 99). Już mu aż tak r e a l n a gwarancja zapomnienia.

Nie jedyny to raz publicysta „Słowa“ objektywizuje w ten sposób własny niedostatek logiki — tak intelektualne czysto nieporozumienie stwarza formułę, że Czechosłowacja, to „państwo nieporozumienie z Europy Środkowej“ (s. 80). Byle syntetetyczny odruch — i już publicyście zwidzą się „Ukraińcy i Czesi“ (s. 85), jako dwa jednej miary historycznej narody. — Byle spojrzenie na sytuację polityczną w Europie, a wzrok odkryje „nienormalne przymierze“ polsko-francuskie (s. 45). „Francji daje przymierze z nami same korzyści. Nam daje same minusy“ (s. 50), „Francja ma przyjemności... My mamy same przykrości...“ (s. 47). Zerwać? nie, zostawić, lecz urozmaicić „zaofiarowaniem Niemcom polityki pokojowej“, — co oczywiście nic nie oznacza, bo bardziej pokojową, niż jest, polityka Polski względem Niemiec jednostronnie być nie może. Zatem wszystko ma zostać po staremu, nawet z punktu widzenia p. Mackiewicza — i nigdzie może w książce bezsens tak wdzięcznie się czytelnikowi nie kłania.

A z drugiej strony i niektóre banalne prawdy ozdobiły się wdziękiem świeżym. Taka np. opinja: „Przyjmujemy jako dogmat, że tendencje do wzrastania hegemonji Stanów nad stosunkami europejskiemi są rzeczą smutną, ciężką i antycywilizacyjną“ — jakże intryguje, opatrzona niepokojącym komentarzem: „Rozumiem dobrze, że moje wyrazy „przyjmujemy za dogmat“ są bardzo zuchwałe, gdyż jak znam prasę europejską, to w językach, które posiadam, żaden dziennikarz nie wypowiada takich poglądów“... (s. 35).

*

Zgoła fałszywe dalibyśmy czytelnikowi wyobrażenie o publicystyce p. Mackiewicza, gdybyśmy twierdzili, że w niej niedostatki argumentacji są wszystkiem. Obok nich jest i logika, logika obrzeżona nielogicznościami, lecz sama w sobie nie zawierająca sprzeczności; składny kompleks ideowy, który przedewszystkiem charakteryzuje publicystę.

Ideą centralną, dokoła której organizuje się harmonijnie świat myśli p. Mackiewicza, jest wiara w cudotwórczą polityczną misję siły, siły w stosun-

ku do narodu — zewnętrznej. Na mocny naród, nieugięty prawie w swoich instynktach moralnych, mocno ustalony w typie cywilizacyjnym, niema w doktrynie tej miejsca. W rozumieniu monarchisty wileńskiego naród to kupa piasku, to glina w ręku garncarza. Cały entuzjazm jego wyczerpują pojęcia siły zewnętrznej, „władzy silnej“, „państwa“. „Władza silna tworzy cuda“ („Kropki nad i“, s. 100), w szczególności — tworzy narody w najlepsze, dziś tak samo jak w zaraniu cywilizacji.

I tu sekret doktryny: wyznawca jej żyje wyobraźnią w sferze stosunków pierwotniejszych, gdzie siła zewnętrzna rzeczywiście stanowi rozwiązanie wszelkich kłopotów, — a specyficzny kult „silnej władzy” nadaje niezrównaną prostolinijność ideologji. „Władza słaba najliczniejsze narody doprowadza do gnicia”... („Kropki nad i“, 100). Tak, tylko że najliczniejsze, a najmocniejsze to zupełnie co innego — i bardzo charakterystyczne jest to zwrócenie uwagi na liczbę, nie na jakość. Siła wnętrzna, siła cywilizacji narodowej zgoła wyobraźni p. Mackiewicza nie pociąga: — „Kto chce państwa polskiego silnego, musi odrzucić nacjonalizm, ideę narodową...” (s. 123) — bo na tej płaszczyźnie myślenia dla siły państwa zaprawdę nieodzowne to, żeby naród był miękki.

Inaczej jakby mógł być przedmiotem *slöjdu* politycznego? — I oczywiście dla oczu, co i dziś naród europejski chcą widzieć, jako płynną masę, i dziś także „teorja... że państwo jest wytworem narodu, czy ludu, czy ogółu obywateli — jest... absurdem“, bo jak za barbarzyńskich czasów Europy taksamo i dziś: „władza tworzy państwo, a państwo tworzy naród” (s. 123). Tem stałem bujaniem wyobraźni w sferze stosunków pierwotniejszych tłumaczy się obojętność na zjawisko cywilizacyj narodowych i nienawiść do idei państwa narodowego. Naród, bliski dojrzałości, lub dojrzały, któremu niewszystko się spodoba, który nie na wszystko pozwoli, niewszystko zniesie, to irytująca przeszkoda w odpowiednio prymitywnie pojętej pracy „państwowo-twórczej”.

Publicyście o tym sposobie myślenia najtrudniej oczywiście zrozumieć narody zachodnie. Zaraz przytoczymy przykłady nieporozumień. Lecz wpierw mimochodem zauważmy, jak dziwne muszą wydać się poglądy powyższe u ideologa szlachetczyzny. Groteskowy zaiste jest widok tradycjonalisty, któremu wadzi najcenniejszy spadek tradycji. Bo zapewne anarchizm rzeczypospolitej szlacheckiej nie był anarchizmem idealnym; brak przymusu państwowego nie był należycie skompensowany samorodnem poczuciem odpowiedzialności za państwo u mas szlacheckich. Lecz ile tego poczucia osadził ów niedość skuteczny system w duszach i w tradycji, to stanowi polityczne dziedzictwo bezcenne i ustala poziom cywilizacji narodu, który Waregów nie może zapraszać do siebie, który nie każdą „władzę silną“ stoleruje, a tylko tę, co w działaniu pójdzie po linji potrzeb i dążeń narodu. A gdy ten historyczny poziom za wysoki dla koncepcyj politycznych „Słowa”, to już całkiem przepastna różnica oddzieli monarchistów wileńskich od francuskiej grupy rojalistycznej. Tamtej konserwatyzm przedewszystkiem salwować miał tradycyjny porządek cywilizacji francuskiej; tych konserwatyzm przedewszystkiem uporać się ma z przeszkodą cywilizacji narodowej, by zaplantować egzotyczny porządek „silnej władzy”.

Egzotyczny: tak, tu jest wyjaśnienie „mocarstwowego” charakteru ideologji. Bo ta w gruncie rzeczy wywodzi się nie z tęsknoty za dawnem barbarzyństwem Europy, lecz z suggestji bliższego barbarzyństwa wschodu. Dopiero gdy tak ustalimy genezę tej publicystyki, stanie się ona zjawiskiem w całości zrozumiałem. A ustalenie to byłoby dowolnością, gdyby słuszności wniosku nie potwierdzał dodatkowo cały świat pojęć, upodobań i kryterjów, wyzierający z kart tych dwuch książeczek. Niema to nic wspólnego z sympatją polityczną; jest to jakby ilustracja tezy, że naród ma tendencję upodobniania się do swych najniebezpieczniejszych wrogów. Autor „Kropek nad i“ kocha najbardziej tych właśnie naszych bohaterów, którzy walczyli z Rosją (s. 166). Rosję uważał za najniebezpieczniejszą — a zarazem ustaliła mu się ona, jako wzór potęgi. Zachwyt nie mniej był szczery przez to, że wzór nieraz osobliwy. „W życiu Wielkiego Księcia (Mikołaja Mikołajewicza, nasz przyp.), dużego rozmachu dowódcy kawalerji, było wiele z takiego podrywania konia cuglami. A potem przyszło to „zastrzelę się, jeśli nie podpiszesz manifestu”, a potem życie całe na szarpanych, urywanych gestach. Odezwa do Polaków, „zamknąć *(sic)* sprzedaż wódki”. O t o g e s t y s i l n e, w i e l k i e, p r a w d z i w i e s a m o d z i e r ż a w n e, prawdziwe poczucie władzy w olbrzymiej rozciągłości, korzystanie całą piersią z tej radosnotwórczej siły, którą daje władza t a k o l b r z y m i a, t a k s z e r o k o się rozciągająca“ (s. 164 — 165).

Jak szczerze, jak głęboko admirować musiał p. Cat potęgę Rosji, skoro w świetle jej *prestige*'u nawet takie gesty — „zamknąć sprzedaż wódki“— wydały mu się wielkie! — i wyrwały tyle entuzjazmu. Entuzjazm to niezawodny na całej linji. „Rzuciłem się na książkę Sazonowa z zapartym tchem... Książka S. jest pomnikiem pierwszorzędnym literatury wojenno - pamiętnikarskiej. My t a k i e j literatury nie mamy“ — i tu następuje m. in. zestawienie z książką Dmowskiego, wysoce na niekorzyść tej ostatniej. Mianowicie „Dmowski podczas wojny wiedział nadzwyczaj mało” (s. 167—168). Kto czytał oba dzieła, nie będzie się mógł dość nadziwić tym poglądom i gustom, — ale sedno rzeczy w tem, że praca Saz., owoc przeciętnego umysłu i pióra miernego, rzeczywiście oczom p. M. zabłysła świetnie, nadzwyczajnie. Bo i sama europejskość przedstawiała mu się tak, jak ją reprezentował kraj samodzierżawia. „Sazonow należy do tych słowian, którzy wrastają w kulturę europejską, adoptowali całą jej świetność, połysk i majestatyczność, którzy władali językami francuskim, włoskim, angielskim lepiej, ładniej, składniej, kulturalniej, niż Francuzi, Włosi, Anglicy” (s. 170). Takie już ma p. Cat tych spraw widzenie, iż nasuwa mu się, jako rzecz naturalna, że Sazonow musiał lepiej mówić po francusku od Brianda. Gorzej zato na tej optyce wychodzi Poincarè. Ten, póki olśniewał splendor dworu rosyjskiego, szanował Mikołaja II, — a potem? „...nasuwa się wprost wrażenie, że p. Poincarè chwali króla Anglji, bo ten żyje i zasiada na złocistym tronie ze lwami i lampartami, a śmieje się w kułak z Mikołaja II, bo tego popiół spoczywa na dnie błotnistego szybu kopalnianego” (s. 170). Nieszczególnie powodzi się i Mussoliniemu: p. Cat nie rysuje wprawdzie jego portretu, stara się tylko odwzorować metody „działania Mussoliniego na Włochy”, — ale jakże zadziwiającą posługuje się w tym celu alegorją! „Parob-

czak" (czytamy) „nie pił żadnego intelektualizmu. Był sobie parobczakiem jak się zowie, trochę złodziejaszkiem, trochę murarzem. Jak go nakryli, to siedział w kozie, jak nie — to nie".Skąd i poco te szczegóły biograficzne? Lecz oto „Parobczak przychodzi, jest durny i zachwyca... czem? Tem, czego nauczył się od nauczyciela ludowego, kilkunastoma słowami, które głoszą rzeczy znane, banalne, nudne, które już dawno wszystkim obrzydły. Wykrzykuje je patetycznie i wierzy przytem ten dureń, że sam je wynalazł. W końcu podnosi swoją łapę paznokciami do góry, jak widział kiedyś w teatrzyku wędrownym, który w jego miasteczku grał Juljusza Cezara" (181 — 2).

A potem, już wyraźnie: „Badając faszyzm, spostrzeżemy z łatwością, że to, co mówi Mussolini, jest może katechizmowe, lecz jest bardzo prymitywne, proste, jest to właściwie szereg prawd ogólnie uznanych. I tą niewyszukaną metodą ten człowiek zdobył sobie społeczeństwo, które już tyle przeżyło" (s. 184). Tyle rozumie autor piękno formuły rzymskiej i sekret jej żywotności. Panią jego zachwytów jest inna — o, nierzymska — estetyka. Są kanony, które odzewem szczerego uwielbienia powitać mu każą, ze stanowiska li tylko krytyczno - literackiego, ów rozkaz do wojska, „wydany po wypadkach majowych", jak pisze p. M. (s. 185). I tu tylko zauważmy, jak to jedno wyrażenie zaznacza dystans między obu stylistami: egzegetą i mistrzem. O czem Piłsudski mówi: „boje", „walki", to p. M., z charakterystyczną grandezzą wielbiciela, nazwie „wypadkami majowemi"...

Tak rozmaicie i wielostronnie wypowiada się logika jednych i tych samych sympatyj pod piórem, które nigdy bodaj nie skreśliło przeciwstawienia: Wschód i Zachód. I snać nie przypuszcza p. M., żeby antyteza ta mogła być podstawą jakiegoś głębszego przedziału między obozami politycznemi. Opozycję nacjonalizmu polskiego wobec piłsudczyzny tłumaczy sobie prościej — swarliwością. „Endecja przestała być stronnictwem ideowem, dbającem o państwo... Dziś to zorganizowana swarliwość", etc. „Jakiś djabelski zaczarowany, hałaśliwy krąg" (s. 198 — 200). A zarzuty te, to tylko (grzeczniejszy?) sposób powiedzenia, że, zdaniem p. M., „endecja" nie ma widoków dojścia do władzy. Bo jeśli dojdzie, to p. M. przyzna, że zawsze była stronnictwem ideowem. „Odwołam to wszystko, co o endekach napisałem, i przestanę pisać jako dziennikarz, jeśli mi jakiś endek dowiedzie, że po obaleniu rządów Marszałka oni, endecy, a nie lewica obejmie rządy..." (s. 200). Do tak efektownych sprzeczności prowadzi kult siły, tak jak dziś go p. Mackiewicz pojmuje.

W. J. C.

O POLAKACH NA BLISKIM WSCHODZIE

(KILKA UWAG I PRZYKŁADÓW Z ZASIĘGU POLSKIEJ ENERGJI NA OBCZYŹNIE)

UKAZAŁA się temi czasy książka Jana Stanisława Bystronia, poświęcona pielgrzymom i podróżnikom polskim w Ziemi Świętej, Syrji i Egipcie [1]). Praca ta zaciekawi nas tutaj światłem, jakie rzuca na pewne cechy naszej energji narodowej, na pewne jej punkty jasne i na pewne cienie.

Spory ten tom zawiera w sobie sporo materjału, acz go napewno nie wyczerpał. Ma głównie autor tę zasługę, iż przypomniał szereg postaci zapomnianych, które aż proszą się o opracowanie (Emir Rzewuski!). Sam Bystroń nie sili się na zupełne ogarnięcie materjału: nie ma na to czasu ni ochoty. Chce żywo i żwawo mknąć z wieku w wiek, z postaci w postać, z relacji pielgrzymiej w podróżniczą książkę. Niech inni łamią sobie zęby na różnych przytrudnych pracach aproszowych (niewydany rękopis Rzewuskiego), na zawilszych problemach i problemikach (tajemniczy znak figurujący w tymże rękopisie), na powiązaniu wreszcie polskiej pielgrzymki z ościennemi, porównaniu jej z analogicznemi zjawiskami, odgrywającemi tak wybitną rolę w społeczeństwach zachodnich. Książka prof. Bystronia składa się jakby z doskonałych artykułów dziennikarskich, powiązanych w książkę. Nie żądajmyż od niej tego, czego w niej niema i nie przykładajmy do niej zbyt naukowego, historycznego czy filologicznego kanonu. Autor ma tę wielką zasługę, że książka jego uważana być może za *memento*, rzucone pod adresem bliższych tematowi specjalistów naukowych, którzy tylu wątkom spać pozwalają!

Jest w niej jednak jeden brak, który odczuje i czytelnik przeciętny i publiczność szeroka. Tok pracy idzie torem dość nieraz suchego wyliczania osób i książek. Autor rzadko kiedy przystaje, by spojrzeć wstecz i wysnuć jakieś ogólniejsze wnioski. Niema, nawet na końcu książki, rozdziału, któryby wyciągnął z pracowicie zebranego materjału jakieś rezultaty, wiążące w jedno tych wiekowych pielgrzymów i podróżników, wytyczające im jakąś wspólną drogę duchową i budujące im jakiś wspólny stos pacierzowy. Na taki kręgosłup składają się przecie zalety i braki. Brak kręgosłupa jest uwagi godny na miejscu takiem, gdzie kręgosłup być powinien. Ile razy chodzi o zestawienie materjału ludzkiego w przestrzeni szeregu wieków, można i trzeba zapytać o oblicze narodowe tego tłumu. Jeśli go niema, tem gorzej dla niego. Ale zapytać należy.

Opierając się na zebranym w tej książce materjale, zobawimy się w wyprowadzenie zeń paru wniosków ogólnych.

Książka nasza obejmuje materjał bardzo niejednolity w czasie, w przestrzeni i w naturze swojej. Średniowiecze sąsiaduje tu z renesansem, renesans z barokiem, a wszystko to razem z owym dość bezkrwistym wiekiem XIX-ym, wypełniającym przeszło dwie trzecie tomu. Ziemia Święta, mimo bliskości geograficznej, nasuwa zupełnie inne problemy, niż Syrja czy Egipt. Wreszcie — i to z poprzedniem jest w ścisłym związku — pielgrzymi *à le lettre* spotykają się na gościnnych łamach naszej książki z turystami, z wojakami, z wodzami, a też i z cywilną czernią emigracji polskiej popowstaniowej.

[1]) J. St. Bystroń, Polacy w Ziemi Świętej, w Syrji i Egipcie, 1147 — 1914. Kraków, Orbis, 1930. str. 310.

Zacznijmy od średniowiecza. Wkład polski w energję krucjat jest istotnie minimalny. Zapewne w małym procencie działać tu może brak rękopiśmiennego przechowania. Sądzić wolno, że nikłość ta odpowiada jednak w znacznej mierze rzeczywistości. Po namyśle dochodzimy nawet do wniosku, że dziwne byłoby, gdyby było przeciwnie.

W wiekach XI i XII Polska była wszakże co dopiero i niedokładnie uchrystjanizowana. W sąsiedztwie swojem miała dzicz pogańską. W swych własnych granicach kłopotów organizacyjnych miała aż nadto. Zastanowić się wolno, czy w takich warunkach wszelki energiczniejszy udział w dalekich, zamorskich wyprawach nie równałby się był samobójstwu narodowemu? I to zwłaszcza dla kraju, który nie był krajem morskim.

Nic więc dziwnego, że mamy tu do czynienia co najwyżej z luźnemi wzmiankami, mniej lub więcej suggestywnemi. Po Henryku Sandomierskim, czwartym synie Krzywoustego, po Jaxie z Miechowa, który z Ziemi Świętej przywozi myśl fundacji klasztoru t. zw. Miechowitów czyli Bożogrobców (ruinami tego klasztoru trzebaby się dziś zaopiekować), miał wyprawić się i Leszek Biały. W r. 1220, wtedy właśnie, gdy go papież mocno do krucjaty przynaglał, miał jednak Leszek mniej do niej ochoty, niż kiedykolwiek. „Niedoszły krzyżowiec stwierdza, że nie może wybrać się do Ziemi Świętej z powodu nadmiernej tuszy i zmienionego w naturę przyzwyczajenia miodu i piwa, których w Palestynie niema, zwykłej zaś wody, ani też wina pić nie może" [2]). Jako równoznaczny ekwiwalent proponuje natomiast Leszek papieżowi obronę świeżo nawróconych Prusaków i dalsze misje wśród pogan.

W zachowaniu się Leszka zorjentować się łatwo. *Mutatis mutandis* działo się to samo i we Francji XII wieku. Tam również poszczególni książęta i królowie miejscowi (należał do nich i król angielski) niejednokrotnie wykręcali się, jak umieli, z ślubów i obietnic krzyżowych. Wytworzył się nawet w prowansalskiej literaturze nieledwo osobny gatunek literacki, rodzaj satyrycznego sirventesu, gromiący władców za opieszałość w mniej lub więcej gwałtowny czy ironiczno-humorystyczny sposób. Co zaś do ekwiwalentu rodzimego, proponowanego przez Leszka, wskazać należy, że nieinaczej postępowali Francuzi XI-go wieku, którzy wyprawiali się do Hiszpanji. Atmosfera krucjat nie zaczyna się od Urbana II-go i końca XI wieku, ale rozwija się przez dobry wiek przedtem pod znakiem wypraw na Sarecenów hiszpańskich. Z tej atmosfery wyrasta francuska *Chanson de Roland* (my na podobne zwjawisko literackie, choć trochę podobne, czekać będziemy do XVII-go wieku, do Twardowskiego i Potockiego, w każdym razie do „Wojny Chocimskiej").

Leszek Biały wydaje się nam tedy znacznie znamienniejszy dla naszych stosunków, niż niejaki rycerz Jan Winko z Krakowa, który wyjechawszy pielgrzymem, zbisurmanił się, przyjął Islam i został się w Jerozolimie, gdzie go Franciszkanie zwą Turkiem (połowa XV w.).

Luka średniowiecza nie wydaje się nam naogół przerażająca, skłonni ją jesteśmy wyrozumieć. Co więcej, z tego negatywu radzi wyciągamy pozytyw rozsądnego rozgospodarzenia się ówczesnych Polaków w groźnej polskiej rzeczywistości.

Gorzej rzecz się przedstawia z innym takim symptomatycznym brakiem, do którego przechodzę.

Z XVI-ym wiekiem wchodzimy w okres nowoczesny. Mamy teraz do czynienia z ludźmi, których znamy bliżej; posiadamy niejednokrotnie ich relacje pisane i wydane, możemy oszczędzić sobie stawiania hypotez. Najciekawszą taką relacją, miarodajną na parę wieków, jest Peregrynacja księcia Radziwiłła Sierotki z lat 1582—4. Dzieło to obfituje w niezmiernie ciekawe, barwne, soczyste szczegóły, jaknajlepiej świadczące o zmyśle obserwacyjnym autora i jego bardzo nowoczesnej ciekawości umysłowej.

Uderza tu jednak i coś inego. Oto Sierotka, wybrawszy się do Ziemi Świętej jako pielgrzym, obudził się w czasie drogi turystą! Jego relację czyta się jednym tchem, błogosławiąc go za to, że nie wpada w ogólniki pobożne, niemniej stwiedzić należy, że głębszych przeżyć religijnych tam nie znajdzie!

Otóż śmiemy twierdzić, że tak będzie i dalej, przez całe wieki XVII, XVIII i XIX, aż do czasów Wielkiej Wojny i dnia dzisiejszego. Od czasu do czasu, napotykamy żywsze opisy podróżnicze, nie napotykamy ciekawych dokumentów religijnych.

Nie znaczy to, by należało wykluczyć z zakresu możliwości istnienie podróżnych, pielgrzymujących w skruszeniu serca i w nastawieniu szczerej religijności. Ale byli to podróżni cisi i niemi. Otóż trzeba tu nam uniknąć nieporozumienia. Tak być może, ale tak być nie musi. Nie można twierdzić, by się tu wszystko odbywało wedle przyrodzonego porządku, a to dlatego, że prawdziwe wzruszenie religijne zapada w serce i nie daje znać o sobie. Bywa jednak i inaczej. Inne piśmiennictwa posiadają nieraz i długi szereg śladów literackich religijnego wzruszenia [3]).

U nas jest pod tym względem dziwnie ubogo. Nie mówimy, że nie było i niema u nas religijnych przeżyć, twierdzimy tylko, że jakoś nie umiały się one spotkać z literackim wyrazem, w zakresie oczywiście naszego tematu pielgrzymowego. Nie mówiąc o Chateaubriandzie ni Lamartinie, nie mamy nic nawet w rodzaju ślicznej trylogji palestyńsko-arabskiej Loti'ego. Biorę tu umyślnie przykłady, będące na samej peryferji przeżycia religijnego, a zachodzące szeroko w dziedzinę literacką. Prof. Bystroń radby zrehabilitować tu zapomianego ks. Ignacego Hołowińskiego, ale nie bardzo jednak ta próba wypada przekonywająco w przytaczanych próbach stylu, zapewne szczerze wzruszonego, ale i w swym wyrazie nieciekawego.

W całej pełni przekonywająco natomiast działa styl ks. Pelczara, późniejszego biskupa przemyskiego: Cypr budzi w nim tylko wstręt „z powodu ohydnych orgij, których widownią była ta wyspa",

---

[2]) Przypomina się tu z innego wieku świadectwo francuskiego dworzanina Sobieskiego, Daleirac'a, który opowiada o burzeniu się żołnierzy polskich w czasie wyprawy węgierskiej po wiktorji wiedeńskiej. Polacy byli niezadowoleni z jadła i wołali *„cacha, cacha!"*, jako że bez kaszy żyć nie mogli.

[3]) W takiej Francji jest pod tym względem tak bogato, że literatura francuska mogła sobie już na przełomie XI i XII wieku pozwolić na epicką groteskę: *Pélerinage de Charlemagne à Jèrusalem.*

w Jerozolimie gorszy się, że „z protestantami szli wolnomularze, a tak djabeł coraz więcej ma przyjaciół w mieście świętem“, zaś na szczycie piramidy strzela z rewolweru, wołając „Niech żyje Jezus i Marja!“ Zaiste z naszem pogłębieniem religijnem i wprowadzeniem tej religijności na jakiś poziom zachodni, bywa dość krucho. Zapewne są to tylko symptomy na jednym szlaku zebrane. Niemniej są, a szlak jest wybrany.

Na trzecim zato odcinku diagnoza wypadnie pozytywnie. Niezwykle ciekawych dowodów tężyzny dostarczą nam przykłady, wzięte z szeregów tułaczy przymusowych, patrjotów-emigrantów z czasu walk o niepodległość.

Tu oczywiście wypadnie nam opuścić Palestynę, a zatrzymać się w Egipcie i Syrji.

W Egipcie pierwszą taką postacią napotkaną jest młodzieńczy książe Sułkowski. Pozostał po nim w Kairze *fort Schulkowski*, a w literaturze naszej dramat Żeromskiego. Niemniej postać to bliżej nam nieznana i jednak dotąd należycie nie zbadana. Naszej wyobraźni wystarczy obecnie stwierdzenie, iż Sułkowski był pierwszym adjutantem Bonapartego, i że na ulicach Kairu śmierć poniósł.

W r. 1833 zjeżdża do Egiptu generał Dembiński, by podjąć się organizacji armji egipskiej oraz z kilkudziesięciu oficerami polskimi (August Szulc, Jussuf-aga przeszedł potem z Egiptu do Syrji, gdzie jako szef inżynierji fortyfikuje St. Jean d'Acre). Dnia 29 grudnia tegoż roku wręcza Mehmet Alemu *Plan d'organisation à suivre pour l'armée d'Egypte et Syrie*. Cała impreza rozwiała się jednak wskutek intryg rosyjskich.

W tymże roku 1833 po przeciwnej stronie, tureckiej, pracuje generał Wojciech Chrzanowski, który w dwa lata później, jako obywatel angielski i członek angielskiej ambasady w Konstantynopolu, stanie się doradcą wojskowym tureckim. W r. 1840 rezygnuje z ofiarowanej mu komendy tureckiej, cofając się przed współpracą z rosyjskim korpusem ekspedycyjnym.

W kilkanaście lat później, po upadku węgierskiego powstania, generał Bem z gromadą oficerów przyjmuje Islam i, jako Murad pasza, osiada w Aleppo. Nie patrzano na nich dobrze, bo też tacy to i byli Muzułmanie. Osman bej Zarzycki, jeden z towarzyszy Murad paszy, trapi się, że nie przestrzegają ci nowi bisurmanie ni Ramadanu ni Bajramu. Zaś Issa Saharin bej, Pruski pisze wręcz: „nasi koledzy tam okrutne figle płatają, słyszę w uniformach do kościoła chodzą i stamtąd z kobietami, uchwyciwszy którą pod pachę po mieście się wodzą; wszystkie restauracje napełnione temi facetusami“. To Aleppo wygląda, nie przymierzając, na Warszawę z roku 1930.

Na takiem, tragikomicznem tle, snuje Bem olbrzymie zamysły zorganizowania kawalerji arabskiej, zaciągnięcia w służbę turecką wychodźców polsko-węgierskich i rzucenie tego wszystkiego na Rosję. Skończyły się niestety te dumne zamiary śmiercią generała pod koniec 1850 roku.

Ładne jest i cywilne *pendant* do tych rycerzy. Ignacy książe Żagiell, wilnianin, uczeń kijowskiego uniwersytetu, doktór medycyny, jest lekarzem nadwornym księcia Halima, syna Mehmeta Alego, i jako taki zwiedza Egipt, Abisynję, Mekkę, Medynę, Syrję, Palestynę...

W Syrji działa inżynier-elektrotechnik Karol Korab Brzozowski (1821 — 1904), którego my znamy raczej jako poetę. Wędruje po całem państwie padyszacha, „drutując je jak garnek“ siecią telegraficzną[4]...

W Syrji wreszcie również działa tak ciekawy O. Ryłło S. J. (1802 — 1848), tak dobrze jakby twórca, w każdym razie pierwszy inicjator dzisiejszego wielkiego uniwersytetu katolickiego w Bejrucie, jednej z najważniejszych w świecie placówek pracy katolickiej, i głównego dziś ośrodka pracy umysłowej w krajach syryjskich.

Ten ogromny wkład energji polskiej, wprowadzony w ten kąt Bliskiego Wschodu, każe się nam zadumać nad losami tylu polskich sił, tak twórczych, a tak dla kraju zmarnowanych! Trzebaby nareszcie zbadać, jak ładnie powiada nasz autor, „dzieje grobów polskich“, ale nie tylko tych tu na wschodzie, także i wszystkich innych. Zadanie to żmudne, ale co za wieloraka, wielopostaciowa histurja polskiej doli i niedoli, a też i częstokoć polskiej tężyzny powstałaby z takiej pracy. Zapewne, Francja górowałaby swoją emigracją. Ale obok niej ileż krajów! Tu postrzegamy Bliski Wschód. Michał Janik wskazał nam niedawno na Sybir, w latach 80-ych ubiegłego wieku technicznej pracy Peruwji przewodziła gromada rzutkich inżynierów Polaków! Zaprawdę rację mają Francuzi, domagając się od nas spisania dokładnych dziejów owego *„refuge polonais“*, rozsypanego po całym globie.

Ten długi zastęp męskich i energicznych postaci ma wspólny ideał i wspólną tęsknotę. Jest obłąkany Polską. W Polsce znalazł nieraz swą religję, bo w nią włożył swą wiarę (tylko to wyjaśnić oczywiście może przyjęcie n. p. Islamu). Cały krągły glob ziemski wydłużać się tu zdaje w niekończącą się, kamienistą drogę, po której twardym, hardym krokiem, rytmem nieustępliwym, kroczy ten zastęp istotnie niezłomny.

Dziś cienie te doszły do Polski. Wrócił Słowacki, wrócił Lelewel, wrócił Bem. Dziś spadkobiercy tych mężnych energij mogą pracować w kraju. I niechby tylko świat nie pomyślał, że Polacy lepiej, dokładniej i prędzej pracują na obczyźnie, niż w swoich czterech ścianach!

Książka, która nasuwa myśli o tematach tak różnych, tak odległych od siebie w czasie i przestrzeni, ma swoją wartość bardzo niepoślednią. Zaznaczyliśmy u wstępu, czego od niej wymagać nie należy. Ale autor jej, żywy i rzutki, przerzucający się w coraz to inne kręgi zainteresowań, ma zasługę nieustającego budziciela uwagi przesypiającej publiczności czytelniczej. Taki bo też i jest nasz autor: z jego cnót płyną jego wady. Jeśli tematu nie wyczerpuje i wykonania nie dociąga, to tylko dlatego, że boi się doprowadzić do własnego uśnięcia nad własną książką. Tego boi się jak ognia.

Woli książki nie skończyć.

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

[4]) Dla dokładności stwierdzić trzeba, że poeta Wincenty Brzozowski, o którego wysłaniu do Syrji w r. 1904 jako korespondenta prasowego wspomina prof. Bystroń, był rodzonym synem Karola. Ta poetycka rodzina zostawiła po sobie ładny ślad poetycki w dziejach polskiego sonetu. Dwaj bracia Stanisław i Wincenty napisali oto wspólnie cykl sonetów na cześć ojca. Wincenty bodaj wrócił definitywnie do Syrji.

NA WIDOWNI

Nowa era cywilizacji. — Kadenizowanie młodzieży. — Wiatr od wschodu. — Góra i niziny. — Socjalizm, lewica i komisowa robota „sanacji".—Szturm do bram starej cywilizacji. — Walka o podstaw chrześćjańskie w wychowaniu.

CZASY są sanacyjne. W jakimże to kierunku mamy być uzdrawiani? Większość obozu, popierającego usiłowania sanacyjne, udaje, że nie wie, jaki to właściwie kierunek wychowawczy. Oczywiście nie dostrzeże ona dokumentu ogłoszonego w dziennikach. Jest to okólnik do dyrekcyj szkół średnich:

Warszawa, 9. I. 1930.

„Z polecenia Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego Kuratorjum zawiadamia, iż nie należy żadnych trudności czynić młodzieży szkolnej, która zechce być obecna na organizowanych i wygłaszanych dla niej przez p. Juljusza Kaden-Bandrowskiego odczytach.

Kurator Okręgu Szkolnego: (—) Zawadzki".

Nazajutrz minister oświecenia publicznego p. Czerwiński wziął udział w konferencji oświatowej w Łowiczu, która trwała trzy dni, a na której przedstawiciele ministerjum i delegaci Związku nauczycielstwa ścigali się w argumentach przeciwko wychowaniu w duchu chrześcijaństwa.

Ni stąd ni zowąd znaleźliśmy się w początkach nowej ery. Wiele się mówiło o reformie konstytucji, ale się pokazuje, że sanacja ma sięgnąć głębiej, bo aż w podstawy ustrojowe polskiej cywilizacji. Założyliśmy pod nią podwaliny przy Chrzcie Polski jakieś tysiąc lat temu, nadaliśmy jej styl łacińsko-katolicki i to nas postawiło w rzędzie państw zachodnich, ale co ważniejsza — znakomicie wrosło w duszę narodu. Po tysiącu latach mamy wzniesiony gmach poddać rozbiórce. P. Kaden-Bandrowski ma zakładać w sercach młodzieży fundamenty pod inną cywilizację. Będziemy się budowali na nowo w stylu, nie rażącym żydów. Znaleziono apostoła. Szczęśliwie gdzieś jakoś zginął nagle z horyzontu towarzysz jego w pracy misyjnej Penklubu, p. Emil Breiter. Ale nie cały zginął: pozostała żydowszczyzna materjalistycznego światopoglądu, którą szerzyć będzie na tej ziemi słowiańskiej p. Kaden. Służba to pewno dobrze opłacona, ale ciężka. Dotychczasowe kursy p. Kadena dla dorosłych sprawiły mu niemało przykrości. Być może kursy dla nieletnich będą lepszą otoczone ochroną. Starsza młodzież zawiodła „sanację"; może następne pokolenie zmąci tamtemu szyki. Najprostszy schemat budowy społecznej, to dół i góra. Nasłuchawszy się o Rosji, spoglądamy z trwogą w niziny, rychło stamtąd wyłoni się bolszewizm. Ani nam do głowy nie przyjdzie, że jeżeli będzie bolszewizm, to on przyjdzie z „góry". Wszystkie niemal nasze wstrząsy i omroczenia, jakkolwiekby się mianowały i legitymowały (nawet z dobrą wiarą), wszystko, co nas dzisiaj w Polsce niepokoi i rozwój normalny utrudnia, w istocie swojej ma tło w stanie podgorączkowym rewolucyjnym. Ulegamy mimowoli bakcylom ze wschodu, które się czepiają istot słabych w kulturze. Stan podgorączkowy, wywołany tą infekcją, dziwnie podnieca w kierunku napół świadomej aktywności i w kierunku snucia legend.

Nie trzeba być politykiem, jeno trzeba umieć patrzeć na literaturę i na obyczajowość, aby to spostrzec. Powietrze nasze aż gęste jest od legend. Bo gdy człowiek schodzi z gruntu rzeczywistości dziejowej i śni mu się nowa era, to za punkt wyjścia musi brać legendę cudotwórczą. Bolszewicy zdumiewają świat swoją aktywnością w kierunku „bezbożnictwa", ale myliłby się, ktoby sądził, że bolszewizm zmienił naturę człowieka. Lampka oliwna pali się po dawnemu w domu Rosjanina, tylko zamiast Chrystusa wisi za nią Lenin, dalej wiszą na ścianach ikony Marksa, Engelsa, Libknechta i Róży Luxenburg...

Przecież nie lud wymyślił tę legendę i ten kult. Niechżeby kto ośmielił się zdjąć ze ściany portret Lenina, zgnije w kazamatach, albo go wywiozą na glinianki. Czy p. Kaden-Bandrowski z nizin idzie z żagwią na dawne wiary, na idealizm życia chrześcijańskiego, na styl cywilizacji polskiej? Bynajmniej — to degenerat z „góry", idący z wielkiego świata, pokumany z międzynarodową akcją światową, przyjmowany mile w Berlinie, ulubieniec żydów.

Nasza „góra" społeczna dymi oparami, powietrze staje się duszne. Wiatr od wschodu niczego dobrego nie wróży. Ale kiedy się mówi o wpływach bolszewickich, to nie znaczy, żeby się pomawiało tych, którzy im ulegają, o świadome akceptowanie bolszewizmu. Nieraz ci ludzie szczerze potępiają stosunki na wschodzie i nie zdają sobie sprawy, że są na pochyłości tej samej. Każdy radykalny kierunek, któremu przyświecają ideały materjalisteczne, w obecnych czasach, przy utartych przez socjalizm marksowski drogach myślenia społecznego, musi utknąć ostatecznie tam, gdzie znalazł się bolszewizm.

Nasza polska cywilizacja ma styl wysokościenny, ostrołukowy, ciągniony ku niebu. Rozwój polega na dźwiganiu ducha w górę i na tem też polega demokratyzm polski. Nieznane jest hasło: „*dołoj!*" i wszystkim dany wolny dostęp do góry. Jest to styl idealistyczny styl pogodnego optymizmu i religijnego i społecznego. Socjalizm marksowski dał się w Polsce odczuć jako prąd sprzeczny z naturą naszej cywilizacji. Ma w sobie wybitny pierwiastek semickiego pesymizmu, wytwarzający łatwo związki z tem wszystkiem, co w praktyce życia, bądź w teorji jest materjalistycznego. Znamy przecież nasz lud mazurski w Warszawie, jakie on ma ambicje społeczne i jak doskonale umie szczeblować w górę społeczną. Tymczasem socjalizm tę ludność zatruwa w miastach pesymizmem beznadziejnego materjalizmu. Nieszczęsne okienka suterynowe socjalizm zatrzaskuje, wmawiając ludowi, że jego losem fatalnym jest wieczna walka z tem wszystkiem, co jest górą, jego losem jest być proletarjatem, czekającym dnia pomsty i zagłady starych form życia. Socjalizmu system wychowawczy jest odwróceniem zasad wychowania chrześcijańskiego. Jego drogowskaz ma napis: „*dołoj,*" na różne języki przełożony.

Długo w Polsce nie rozumiano, o co chodzi. Lekceważono konflikty, uznając je za potyczki partyjne. Teraz dopiero zaczynają ludzie przecierać oczy, że jest to kryzys cywilizacji i że w tej walce socjalizm jest tylko grupą szturmową. Dziś walka toczy się o duszę pokoleń, czy staną w obronie Kościoła i Narodu. W miarę poznawania prawdy następuje reakcja nietylko w masach narodowych, ale nawet w szeregach ideowych socjalistów, którzy w Marksie nie szukają religji.

W trakcie pisania tych kartek wziąłem do ręki nadesłaną mi przed chwilą księgę p. t. „Demokracja i kultura". Księga olbrzymia (730 stron

dużego formatu), jedna z tych bohaterskich prac, które w Polsce od czasu do czasu wykonywa ktoś skromny, nie pytany, nieproszony, nie wspomagany. Autorem jest p. Władysław Wolert, socjalista z przekonań politycznych. Drugi tytuł dzieła: „Praca oświatowa zagranicą“. P. Wolert pokazał, skrzętnie zebrawszy materjały, co robią na świecie twórcy swoich cywilizacyj, aby dźwigać warstwy ludowe.

We wstępie autor pisze:

„Cywilizacja współczesna zbudowana jest na handlu, przemyśle i pieniądzu. Cywilizacja ta jest zmaterjalizowana i zmamonizowana. Ale społeczność jest tworem ducha. I nie może żyć tylko materją...

Polska jest to przecie szereg warstw społecznych o kulturalnej tonacji z różnych epok. Te warstwy są nieuobywatelnione i nieuspołecznione. Brak im wspólnego mianownika duchowego. Mówią językiem pojęć różnych czasów i różnych przestrzeni. Niema duchowej więzi... Społeczeństwo nasze trzeba wychować...

Czy społeczeństwo nasze wychowuje w sobie kulturę uczuć?

Najgłębsze wszakże ślady w życiu każdego społeczeństwa wywiera religja... A jakaż jest kultura uczuć religijnych? Ktoś powiedział kiedyś, że socjalizm będzie moralny, albo go nie będzie. Było to głębokie uchwycenie procesu życiowego. Marxizm, pozbawiony cech etycznych, znalazł się w okresie dekadencji“.

Marksizm był zawsze dekadencją. Czarował z początku w swej talmudyczności pozorami nauki. Teraz się spopularyzował w praktyce rosyjskiej, a w ofensywie wielkiej armji „lewicowej“ na cywilizację chrześcijańską ujawniła się jego rola dziejowa. Ujawniły się w tej koalicji jego związki z liberalizmem kapitalistycznym i z masonerją, a zwłaszcza z żydostwem, dla którego jest surogatem religji. Marksizm, wysunięty na czoło ofensywy antychrześćjańskiej, padł w naszem społeczeństwie pierwszy ofiarą reakcji, która nastąpić musiała na widok niebezpieczeństwa, grożącego cywilizacji narodowej. Rysem zasadniczym nowego pokolenia młodzieży polskiej nie tyle jest to, że jest nacjonalistyczna, lecz — że nie jest socjalistyczna pomimo swej demokratyczności. Tragikomizm położenia „sanacji” polega na tem, że mając wielkie trudności rządzenia bez moralnego oparcia w społeczeństwie, bierze na siebie od masonerji i żydów tak ciężkie roboty komisowe, jak przeróbka cywilizacji od podstaw religijnych i wszczyna walkę z Kościołem, której jeszcze nigdy nikt nie wygrał.

Zagadnienie frontu w Polsce coraz bardziej się upraszcza. Manewry polityczne nie zasłonią tej prawdy, że walka się toczy o ducha cywilizacji polskiej: czy znaczona ma być krzyżem, czy trójkątem. Gdy p. Radwan (naczelnik wydziału Seminarjów nauczycielskich) na konferencji oświatowej w Łowiczu mówił:

„Żadne powroty do martwego tradycjonalizmu, płynącego czy z form religijnych, czy też narodowych! Muszą się przepalić wszystkie rupiecie w nowym, twórczym, własnym ogniu“,

to rozumiemy, że przekreśla tysiąc lat cywilizacji polskiej. Delegat zorganizowanego przez lewicę Związku nauczycielstwa p. Maj (*nomen omen*) dorzucił: chrześcijaństwo to „religja niewolników rzymskich”, a polskość — to tradycja „szlachecka“.

Walka przenieść się musiała na pole wychowania. Idealizm i materjalizm walczą o duszę pokoleń. A w walce tej wziąć musi udział i Kościół i Naród, bo stawką jest cywilizacja Polski historyczna, wzniesiona łącznym ich wysiłkiem.

DIGAMMA

ZE ŚWIATA

GO-MIN-DAN

„Państwo nasze dziś podobne jest do smoka, który się podniósł pod słońce i uniknął sieci nieprzyjaciela“ (z przemówienia Czżao)

18 LAT minęło od chwili, kiedy padła w Chinach dynastja mandżurska; 14 lat od chwili, kiedy program Sun-Jat-Sen'a zaczęto głosić narodowi, kiedy partja Go-min-dan stanęła do walki o Ojczyznę, skupiając w swoich szeregach najlepszych synów Wielkiej Kwitnącej Republiki. Lata płynęły, jak krwawe fale; zdawało się czasami, że ruch wyzwolenia narodowego zostanie zatopiony, że zginie Go-min-dan a hasła Sun-Jat-Sena przebrzmią bez echa. Los i wola 400-miljonowego narodu chciała inaczej; i oto dziś sztandary obudzonego a jednoczącego się państwa dumnie powiewają w powietrzu, a chiński ocean zaczyna kołysać się coraz potężniej, grożąc zagładą okrętom przybyszów z Zachodu.

Ojcem tego olbrzymiego ruchu wyzwoleńczego, odrodzenia się narodu Chińskiego był doktór Sut-Jat-Sen, ideolog nowych Chin, wódz Go-min-dan'u.

Sun-Jat-Sen był synem „patrzącej ku słońcu prowincji Guan-Dun, w której rodzą się najlepsi synowie ojczyzny“. Tu, wśród przepięknej przyrody górskiej, powstały główne jego myśli — refleksje o wielkości i potędze swego narodu. Tu przebolał upadek i ujarzmienie ojczyzny przez przybyszów, tu przed ołtarzami przodków zaprzysiągł walkę o wyzwolenie z pod obcego jarzma; stąd ruszył w świat w poszukiwaniu środków i dróg, prowadzących do lepszej przyszłości.

Tułał się po świecie, poznał Europę i Japonję— wrócił do swej ojczyzny i ogłosił narodowi program odrodzenia — „San-Min“ — trzy zasady, trzy hasła.

Pierwszą zasadą San-Min'u jest walka o wyzwolenie Chin z pod jarzma obcych przybyszów, jest skasowanie przemocą narzuconych, haniebnych traktatów. Chiny przeżywają obecnie to, co Polska przechodziła w okresie tworzenia Konstytucji 3-go maja — po długiej nocy zastoju i upadku — słoneczny wschód nowego życia.

Drugiem hasłem San-Min'u jest organizacja narodowego życia Chin na zasadach obywatelskiej równości, jest dążenie do stworzenia parlamentu, rozumiejącego dobrze potrzeby całego narodu, a znającego i umiejącego rozwinąć wszystkie zasoby i siły narodu. Jest to dalej dążenie do stworzenia jednolitej, scentralizowanej administracji państwowej, obsługującej dobrze i sprawiedliwie wszystkich obywateli, jest to zniesienie odrębności faktycznej wielu prowincyj i usunięcie samodzierżców generałów - gubernatorów, będących na usługach i żołdzie obcych mocarstw. Jest to wreszcie stworzenie konstytucji, któraby wyrastała z tradycyj historycznych chińskich, a jednocześnie uwzględniała dodatnie strony demokracji europejskiej.

Trzeciem hasłem San-Min'u jest wychowanie narodu w poszanowaniu dla wielkich ideałów przeszłości,—dążenie do odrodzenia życia kulturalnego Chin, spowodowanie nowego wspaniałego rozwoju państwa. Jest to wreszcie rozbudowa narodowej gospodarki w Wielkiej Kwitnącej Republice.

Oto w ogólnych zarysach wytyczne programu Sun-Jat-Sena, wielkiego twórcy chińskiego ruchu odrodzeniowego.

Program ten przyjęła i ogłosiła za swój partja Go-min-dan — „partja narodowo-państwowa“. Stronnictwo Go-min-dan w przeciągu 14 lat potrafiło stworzyć rządzącą elitą narodową chińską, potrafiło wykształcić dzielnych wojowników o wyzwolenie ojczyzny, potrafiło silnie ująć we własne ręce olbrzymi naród i poprowadzić go drogą wskazań swego wodza, Sun-Jat-Sen'a. Mało znajdziemy w historji podobnie doniosłych prac, dokonanych w tak krótkim czasie.

Wśród Polaków często traktuje się ruch Go-min-dan'u jako ruch klasowy, program Sun-Jat-Sena uważa się za jakieś niedołężne naśladownictwo europejskich doktryn socjalnych, co więcej ukazują się „rozprawy" o „lewem skrzydle w Go-min-danie“ o „Go-min-danie kumunizującym“. Tym szkodliwym nieporozumieniom trzeba położyć kres Go-min-dan' nie reprezentuje programu klasowego, walczy nie o klasę, ale o wyzwolenie i podźwignięcie z upadku całego narodu — jest ruchem narodowym. Każda walka dziś w Chinach jest walką świadomej części narodu, zorganizowanej przez Go-min-dan, z fermentami lub co gorzej z kondotjerami obcych interesów, jest „walką z Branickimi i Targowicą“. Co się zaś tyczy legendy o „Go-min-danie komunizującym“, stwierdzić należy, że Chińska partja narodowa, walcząc o wyzwolenie narodu, posługiwała się *per fas et nefas* wszystkiemi środkami, jakie się jej nasunęły po drodze do celu. Brała obficie pieniądze i broń od Moskwy, bo jej Moskwa była potrzebna w zwalczaniu Japonji i Anglji. Z chwilą jednak, kiedy pierwsza generalna bitwa z Japonją została wygrana (pogrom Dzan-Dzo-lina), zaś Anglja okazała się skłonniejsza do rozmów o rewizji nierównych traktatów, Moskwa została bez żadnych skrupułów odrzucona, co więcej wyrzucona (konflikt sowiecko-chiński o kolej w Mandżurji). Dyplomacja chińska, mająca 3.000 letnią tradycję i „praktykę“, wyprowadziła czerwonych statystów w pole. I przedtem, — kiedy Moskwa wmawiała światu, że Go min-dan to chińska partja komunistyczna, a Sun-Jat-Sen to uczeń Lenina, i teraz, — kiedy znowuż trąbi o „imperjalizmie“ Czan-Kai-Szeka i „zdradzie“ Go-min-danu, — skośne oczy patrjotów chińskich przymykają się, i na ustach igra niedostrzegalny dla europejskiego oka drwiący uśmiech. Przez 3.000 lat dyplomaci chińscy dobrze nauczyli się rozmawiać z ludźmi...

Harbin (Chiny) w listopadzie WŁADYSŁAW PELC

WYCHOWANIE NARODOWE

P. UTTA O STRAJKU SZKOLNYM

PISZĄC niedwno o zamiarach uroczystego obchodzenia rocznicy strajku szkolnego w b. Kongresówce, daliśmy wyraz przekonaniu, że ten nowy obchód święta szkolnego jest wątpliwy pod względem wychowawczym, a tu i ówdzie ryzykowny politycznie[1]). Obecnie nadesłano nam tygodnik Niemców w Polsce, wydawany w Łodzi p.t. „*Der Volksfreund*“, który całkowicie potwierdza nasze przypuszczenie.

Okazuje się, że bodaj pierwszym który uczcił rocznicę strajkową, był poseł Utta, łódzki przedstawiciel nauczycieli niemieckich w Polsce. Już w numerze „*Der Volksfreund*“ z 1 grudnia ubiegłego roku umieścił on pompatyczny artykuł p. t. „Przed 25-cia laty, a dzisiaj“. (W rocznicę polskiego strajku szkolnego z 22 listopada (?) 1904).

„Zeszłego piątku—pisze p. Utta — nasi polscy współobywatele czcili dzień, w którym przed 25-ciu laty z cichej, nieustannej walki o polską szkołę przeszli do otwartego ataku. W tym dniu proklamowano strajk młodzieży polskiej. Ani rodzice ani dzieci nie wahali się użyć tego środka w swej świętej walce. Gotowi byli ponieść każdą ofiarę dla swej kultury i dla nauki w języku ojczystym“.

Tu następuje rzewny obraz trosk i cierpień rodziców polskich z doby strajkowej, przypomnienie (nieznanego nam dotychczas) faktu, że Niemcy wówczas przy strajku wspierali nas w imię hasła „za naszą i waszą wolność“, że wszystko dla tego celu ryzykowali („*haben alles auf's Spiel gesetzt*"), wreszcie patetyczne wypomnienie nam rzekomych krzywd, wyrządzanych szkolnictwu niemieckiemu obecnie w Polsce.

Pan Utta wypomina nam specjalnie w rocznicę strajku, że Niemcy w Kongresówce stracili już rzekomo trzy czwarte swych szkół prywatnych, że ich szkoły średnie prywatne nie mają praw publiczności, że tysiące niemieckich dzieci znajdują się jakoby w tej samej sytuacji, jak polskie dzieci przed 25 laty. Pan Utta daje wreszcie do zrozumienia, że ludność niemiecka ma te same prawa w walce o szkołę niemiecką w Polsce, jakie my mieliśmy w swoim czasie w Kongresówce.

Pomijamy zuchwalstwo zestawienia sytuacji w Kongresówce przed 25 laty, gdy w samem sercu Polski nie mieliśmy ani jednej szkoły polskiej, z dzisiejszem położeniem napływowej ludności niemieckiej w Polsce, rozporządzającej przeszło 600 szkołami powszechnemi, państwowemi gimnazjami i seminarjami nauczycielskiemi oraz pełną swobodą w zakładaniu szkół prywatnych. Pomijamy fakt, iż traktat o „mniejszościach" nie obowiązuje nas do utrzymywania na terenie Kongresówki szkół niemieckich, założonych w swoim czasie przez władze okupacyjne.

Pomijamy to wszystko, jako przyzwyczajeni do zuchwałych uroszczeń niemieckich w Polsce, a pragniemy jedynie zwrócić uwagę, z jakiemi to refleksjami spotykają się nasze obchody strajkowe u współobywateli narodowości niemieckiej. Czy mamy czekać dalszego ciągu na wschodzie państwa?

J. B.

[1]) „Myśl Narodowa“ z dn. 29 grudnia 1929 r., artykuł p. t. „25 lecie strajku szkolnego“.

NAUKA I LITERATURA

LENIN

CZERWONEMU carowi Rosji współczesnej poświęcił bardzo zajmującą książkę Ferdynand Ossendowski.[1]) Nie jest to dzieło historyczne, w ścisłem znaczeniu tego pojęcia, nie jest również utworem czystej wyobraźni; jest to raczej biografja „romansowana“, rozwinięta na tle dziejów walki rewolucjonistów rosyjskich z caratem, która się kończy przewrotem bolszewickim.

[1]) F. A. Ossendowski. „Lenin“. Wydawnictwo polskie (R. Wegner) Poznań 1930 r. str. 470.

Pomiędzy Al. Dumas'em (ojcem), a znakomitym historykiem Fustel de Coulanges'em miał kiedyś miejsce następujący djalog. Dumas: „Słyszałem, że pan zajmuje się historją, byłem zawsze jej entuzjastą"; Fustel: „Słyszałem i ja o pańskich pracach, mój jednak kąt widzenia na tę naukę różni się od pańskiego"; na to Dumas: „O, tak! mój kąt widzenia — to sto tysięcy czytelników".

Z myślą o swoich „stu tysiącach" czytelników pisał Ossendowski „Lenina," „starał się jednak być w zupełnej zgodzie z historją i prawdy jej, nie uciskał w sieci beletrystycznych zmyśleń, oraz dowolności. Są tu i zmyślenia, niezbyt wszakże ryzykowne, nie będące w sprzeczności z naturą głównego bohatera i charakterem życia rosyjskiego.

Lenin w przedstawieniu Ossendowskiego wygląda tak, jak go opisują liczni jego biografowie, słowem jak jednostka o niezłomnej woli, dążąca bezwzględnie, nieubłaganie, nie cofając się przed najbardziej nieludzkiemi środkami, — do urzeczywistnienia naczelnej idei życia swego, mianowicie obalenia caratu i ustanowienia dyktatury proletarjatu. Jak powyższa idea — z jakich powodów — zrodziła się w umyśle Lenina, jak się stała jego „*idée fixe*", jak się wreszcie, na schyłku jego życia, urzeczywistniła, opowiada o tem autor dokładnie, kreśląc przytem pełne życia obrazy i sceny z bytu rewolucjonistów rosyjskich, przedwojennych i ostatnich czasów.

O tem wszystkiem, o głównym „ideologu" oraz realizatorze przewrotu i porządku bolszewickiego, pisano bardzo wiele zagranicą (pomijamy pisarzy rosyjskich), — ale najczęściej mało się w tem orjentowano, albo przedstawiano powierzchownie i ujmowano płytko.

Dość tu, żeby o tem się przekonać, przytoczyć prawdziwie „matołkowate" opinje wielu głośnych pisarzy, mężów stanu i myślicieli europejskich. Romain Rolland np. mówi o Leninie, jako o „największym człowieku czynu w naszem stuleciu, a zarazem największym altruiście". Filozof i uczony angielski, Bertrand Russell (który zaczyna być u nas modny) mniema, „że nasz wiek wejdzie w historję światową, jako wiek Lenina i Einstein'a, owych dwóch ludzi, którym udało się dokonać olbrzymiej syntetycznej pracy... Lenin w oczach burżuazji uchodzi za burzyciela. Był to duch harmonijnie twórczy, filozof, systematyk praktyki".

Francuscy politycy, Herriot, Painlevé i senator de Monzie, „byli z podziwem" dla nadzwyczajnego talentu państwowo-twórczego Lenina i zachwycali się jego niespożytą energją. Powieściopisarz niemiecki, laureat Nobla T. Mann, pisał o Leninie, że jest to „bezwątpienia zjawisko występujące raz na kilka wieków, to organ ludzi w nowym zupełnie stylu demokratyczno-gigantycznym"!!.. etc.

Ossendowski, chociaż ma bujniejszą wyobraźnię od tych wszystkich wielbicieli Lenina, jest zanadto dobrym znawcą Rosji i psyche rosyjskiej, żeby się takim jak oni oddawać złudzeniom.

Jego Lenin jest to obłąkaniec absurdalnej idei, który aby ją wcielić w życie, zwołał pod swoje sztandary dzicz pół-mongolską, pijaną od wódki, krwi i nienawiści, mścicieli, obłąkańców, zbrodniarzy, ponurych katorżników, prostytutki. „Olbrzymia syntetyczna praca", jaką wykonał, wyraża się w ukrzyżowaniu, storturowaniu i pohańbieniu Rosji. Co zaś do jego „filozofji" i „systematyki praktyki" to, jak się okazuje z książki Ossendowskiego, Dzierżyński był pod tym względem większym od niego.

Z książki Ossendowskiego, którą już przekładają na wszystkie języki europejskie, dowie się świat istotnej prawdy o wodzu ruchu bolszewickiego w Rosji, o jego przyczynach i pobudkach, tkwiących w szalonych duszach, opętanych fałszywą ideą, zatrutych uczuciem zemsty, które przywiodły Rosję do powszechnej zbrodni, powszechnej nędzy i prawdziwie „demokratyczno-gigantycznego" absurdu.

W. J.

RUCH WYDAWNICZY

Jako drugi tom „Systemu ekonomji politycznej" prof. Romana Rybarskiego ukazała się obecnie jego „Teorja gospodarstwa społecznego" (Warsz. 1930. Wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego, str. VII i 235). Tom pierwszy, wydany w r. 1924, nosi tytuł: „Rozwój życia gospodarczego i idei gospodarczych". Ogolną teorję ekonomji politycznej autor podzielił na dwa tomy. Tom obecny poświęcił teorji w ścisłem znaczeniu, t. j. zasadom racjonalnego działania gospodarczego w chęci uzyskania najlepszego ilościowego wyniku, wyrażonego przez stosunek wymienny. W drugiej zaś części teorji (będzie to tom III) przedstawi psychologję społeczno-gospodarczą. Psychologja zdaniem autora nie da się ująć w ramy teorji ogólnej, każda bowiem epoka gospodarcza i każdy ustrój mają swoją psychologję swoistą. Dopiero po zbadaniu psychologicznem zjawisk gospodarczych i ich zależności od czynników nieekonomicznych, można przejść do zagadnień polityki gospodarstwa narodowego. Polityka będzie zapewne stanowić tom czwarty.

Wykładu prof. Rybarskiego cechą i zaletą jest właściwa mu zwartość i jasnośc. Nie obciąża go balastem aparatu naukowego. Poglądy innych uczonych przytacza tylko wtedy, gdy uznaje, że sam nie doszedł do własnej definicji.

Zasadniczym punktem wyjścia badań prof. Rybarskiego, jak sam wyznaje w zakończeniu — jest pojmowanie życia gospodarczego jako całości, która jest w ciągłym ruchu. Nazywane „układem" musi być widziane w funkcjonowaniu i zmianach. Nie wdając się w dociekanie metafizyczne „istoty" poszczególnych zjawisk, jako zjawisk luźnych, ukazując je w tej postaci, jak one występują we wzajemnem ustosunkowaniu z innemi, badacz wyjaśnia wszystkie zjawiska w ich łączności. W ten sposób prof. Rybarski rozpatruje w nowem świetle pojęcia: zagadnienia dochodu i kapitału w związku z zagadnieniem ceny, wartości pieniądza i ogólnej teorji ceny. Zdaniem autora żadnego zjawiska gospodarczego nie można zbadać teoretycznie bez teoretycznego ujęcia całości gospodarstwa społecznego.

Literaturze naukowej ekonomji przybywa znakomite dzieło.

*

Nakładem księgarni L. Igla we Lwowie ukazała się książka prof. Stanisława Grabskiego p. t. „Państwo narodowe" (Lwów 1929, str 178). Książka składa się z rozdziałów: I Dzisiejsza chwila, II Europejski kryzys państwowy, III Forma państwowa i treść cywilizacyjnego życia narodu, IV Siła narodu, V Zmiana naszego ustroju politycznego. O tej nowej pracy znakomitego pisarza politycznego, uczonego i myśliciela „Myśl Narodowa" zamieści wkrótce obszerne sprawozdanie.

*

Barwą i stylem do wieku XIX należy wydanie u św. Wojciecha w Poznaniu powieść Hanny Krzemienieckiej „Lecą wichry". Dzieło to, nagrodzone na konkursie jubileuszowym „Kurjera Warszawskiego", przed wojną nie mogłoby w zaborze rosyjskim być wydane z powodu swej treści patrjotycznej. Powieść, osnuta na stosunkach polsko-rosyjskich, a sięgająca w opowiadaniu lat powstania, snuje we wzruszających obrazach dzieje miłości młodej panny z polskiego domu szlacheckiego na Ukrainie i Rosjanina Białgorodowa, prawnika kijowskiego. Miłość była głęboka i szlachetna, wszakże w sposób dramatyczny załamała się na konflikcie z uczuciem patrjotycznym. Uczucie miłości przezwyciężyło wszystkie przeszkody życiowe, ale gdy panna dowiedziała się, że ukochany jest synem prześladowcy Polaków, którego ofiarą był też jej ojciec, serce wyrzekło się szczęścia. Powieść ma cechy stylu literackiego z przed okresu naturalistycznego. Proza poetyzowana odpowiada dobrze stanowisku wysoce idealistycznemu antorki i charakterowi kultury uczuć patrjotycznych w dworach polskich pokolenia popowstaniowego. Autorka wydała już kilka dzieł: zbiór nowel, Fatum (studjum psychologiczne) i romans mistyczny „A gdy odejdzie w przepaść wieczną". Wszystkie podniosłością uczuć, widzeń i myśli przemawiają do serc szlachetnych i zaszczytnie są wyróżnione w literaturze.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

P. Octave Aubry, który poświęcił cały szereg swych prac Napoleonowi I, wydaje obecnie książkę o Napoleonie III. Jest to w swoim rodzaju biografja romansowana, ale romansowana bardzo mało, gdyż historja Drugiego Cesarstwa jest bogata w epizody najrozmaitszej natury. Autor zręcznie się niemi posługuje, uwypuklając jedne, w cień usuwając drugie ale starając się przytem zachować sąd bezstronny. Książka ta obejmuje całe życie Napoleona III. P. Aubry przedstawia nam kolejne jego etapy, dzieląc to na

pięć części. W sposób żywy odmalowuje nam chwile więzienne Ludwika-Bonaparte, spędzone w Ham i ucieczkę, a potem wybór na Prezydenta i zamach 2-go grudnia 1851 roku. Trzecia i czwarta część książki odnosi się do ustalenia drugiego Cesarstwa, małżeństwa z Eugenją Montijo, wojen włoskich, obejmując apoteozę panowania Napoleona III. W ostatniej zaś autor opisuje klęskę pod Sedanem i wygnanie cesarskiej pary do Anglji.

Utwór ten, jakkolwiek przepełniony faktami historycznemi, czyta się z żywem zainteresowaniem. P. Aubry umie barwnie i interesująco ująć zarówno sceny, opierające się na faktach, jak i na anegdotach. Autor starał się uwydatnić najistotniejsze rysy charakteru swego bohatera, jego słabość i sentymentalność, która go doprowadziła do małżeństwa z Eugenją Montijo. Do tej ostatniej p. Octave Aubry nie żywi bynajmniej wielkiej sympatji; jej ambicja i wpływ, wywierany na cesarza, stały się po części przyczyną nieszczęść i klęski, która rodzinę cesarską skazała na wygnanie, a Francję na utratę Alzacji i Lotaryngji. Cesarzowa Eugenja jednakowoż srogo opłaciła swe wielkie plany dynastyczne, gdyż tragiczna śmierć Cesarskiego Księcia położyła koniec wszelkim projektom nietylko już cesarzowej, ale także i matki.

*

P. Andre Demaison, autor *„Le Livre des Bêtes qu'on appelle sauvages"* pracuje nad nową powieścią kolonjalną, która będzie nosiła tytuł *„Tropiques"*. Jest to historja dwóch białych, żyjących w Afryce i którzy zdala od świata cywilizowanego zamiast się popierać, nienawidzą się wzajemnie.

*

W tomie zatytułowanym: *„Santa Teresa y otros ensayos"* głośny profesor i pisarz hiszpański Américo Castro z głęboką znajomością rzeczy i w sposób rewelacyjny wyjaśnia różne jaknajbardziej zawiłe zagadnienia literacko-historyczne. Czytając książkę odnosi się wrażenie, że się ma przed sobą tekst natchnionego jasnowidza-proroka.

*

W ostatnich czasach ukazała się w oryginale hiszpańskim bardzo ciekawa książka p. t. *„El desencanto de Miguel Garcia"* (Zawiedzione nadzieje Michała Garcia), której tłem jest egzotyka ekwatorjalna. Powieść ta, doskonale zbudowana i napisana barwnym stylem, zajmie umysły czytelników obu półkuli, uczucia bowiem opisywane przez autora, Benjamina Carrión są głęboko ludzkie, powszechne.

SZTUKI PLASTYCZNE

SIGNA TEMPORIS

OTWARTA w Zachęcie po Salonie Dorocznym wystawa obecna, po barwnym i hucznym, chociaż płytkim kuligu towarzyskim wprowadza widza w spokojny, równy dzień powszedni. Pełna sala obrazów T. Axentowicza, daje przypomnienie przeszłości artysty w rzucie ogólnym, ale niepełnym. Brak tu najbardziej charakterystycznych dla tego malarza portretów i główek. Całość mdła, a nawet ckliwa. Ściany innych sal, pozajmowane przez zbiory prac kilku artystów mniej więcej znanych, zyskają na tem, że o nich najmniej lub wcale pisać się nie będzie. Próby, pozy, wygodne nastawienia fotograficzne, tu i ówdzie wysiłki w kierunku stylizacji, zresztą chybione. Wśród powszedniości tej nienazbyt wybija się druga (z kolei czasu) wystawa Związku Grafików — także powszednia. Minęłoby się i tę salę bez osobliwego wrażenia, gdyby nie jedno w niej dzieło z wielu powodów niezwykłe. Należy mu się uwaga z punktu widzenia artystycznego wyjątkowa.

Znany artysta-rytownik, p. Franciszek Siedlecki (twórca portretu F. Nietzschego) wystawił tym razem wśród kilku prac swoich kwasoryt, przedstawiający portret Józefa Piłsudskiego. Wiadomo, że niema dziś w Polsce wystawy bez portretu tego dostojnika państwa. Miał zatem artysta, ze względu na liczne współzawodnictwo, zadanie bardzo trudne. W powodzi portretów jednej i tej samej postaci, nie pozostać w tyle, nie utonąć w szarej masie po wojskowemu zwartych szeregów, nawet nie zabłysnąć na froncie widocznym ramię w ramię z najuczciwszymi, ale wybić się daleko naprzód na stanowisko samotne, odrębne, dla porównań niedosiężne — to czyn (lub modny teraz — „wyczyn"), za który, wzorem wojskowego krzyża *Virtuti Militari*, możnaby artystę obdarzyć bełtem orderu *Sapere Auso*. Rytownik kwasorytem swym dokonał tego czynu.

Jakkolwiek, wychodząc z założeń techniki, portret ten wywołać musi te i owe zastrzeżenia, nawet zarzuty, to jednak treść jego wewnętrzna wartościami swemi przeważa je tak dalece, że wady nikną z pola widzenia. Zupełnie, jak w sztuce dziecka. Artysta w obliczu swego modela najwidoczniej stał się dzieckiem, naiwnem, szczerem i wszechwiedzącem dzieckiem. Tym sposobem, uwolniony z więzów nauki szkolnej i wszelkiej tradycji technicznej, wzniósł się w najwyższą w dziedzinie sztuki sferę bezpośredniości metafizycznej, która odsłania najgłębsze tajniki duszy ludzkiej. Jak Velasquez w najlepszych swoich dziełach, tak w tym portrecie p. Siedlecki wyzbył się samego siebie całkowicie, docna, do najmniejszego nerwu własnej osobowości. W wyniku powstał portret niezafałszowany żadną, zgóry przysposobioną myślą, niezamącony żadnem uczuciem ubocznem, portret o pełnym akordzie cech psychologicznych, potężne w objektywizacji swej arcydzieło wyrazu. Sądzę, że z niezliczonej gromady mniej lub więcej subjektywnych, stylizowanych i fantazjowanych portretów Piłsudskiego ten jeden ostoi się i jako pierwszorzędny dokument czasu do historji wejdzie.

Innym zgoła, przeciwnym, choć analogicznym dokumentem czasu jest wydany w firmie Mortkowicza zbiór królów polskich dynastji piastowej w wykonaniu głośnej malarki p. Zofji Stryjeńskiej. Znane są powszechnie styl, manjera i technika tej artystki, popularnej przez swoje typy, sceny i tańce ludowe, oraz oswojone przez nią bogi i bożki słowiańskie. Obecnie dancingowy (że tak powiem) wdzięk zblazowanej powodzeniem malarki poważył się na temat historyczny, a w dramatyczności swej—matejkowski. Prosty, szlachetny i w tężyźnie swej niedościgniony ród Piastów — pierwszych Budowniczych Polski, ród o historji bohaterskiej, często — tragicznej, oczekujący jeszcze w Polsce na swoich Eschylosów i Sofoklesów, dostał się w malarskiem albumie do pachnących i zwinnych rączek buduarowej sawantki, rozkapryszonej tancerki, dowcipnej kozerki, kozetkowej historyczki, znudzonej nikotynierki, zalotnie utlenionej brunetki, zawadjacko ufryzowanej chłopczycy, boy'owej uczennicy. Skutek mógł być tylko jeden: Mortkowicz i śmiech.

Znam poważnych historyków, którzy się oburzają na taką profanację wielkiego rodu królów polskich. Nawet ten i ów krytyk dziennikarski poważnie i delikatnie zgromił wybryk pani Stryjeńskiej. Jednak nie mogłem opanować śmiechu na widok tego pocztu „królewskiego", w wyobraźni artystki powstałego. Piast — z kołem samochodu Chrysler w doskonałej oponie z prażonego kauczuku najnowszej fabrykacji. Kazimierz Wielki w typie królów assyryjskich z papierosem egipskim (z gatunku Damesów), w nerwowych palcach dymiącym (tak zwane „samopały", bo zapalone same spalają się do końca). Wszyscy inni Piastowie — senni chorzy, chwiejni, bladzi, ze krwi wyssani, o wzroku ogłupiałym, w pozach mdlejących, wdzięcznie spreparowani. Stanowczo nie posłużył im pobyt w artystycznych objęciach krakowskiej Dalili. Słowem — wyobraźnia rodem z Zielonego Balonika od Michalika, skąd już tyle na Warszawę spłynęło nowoczesnej kultury.

Nie oburzam się na to? Skąd znowu! Nie mogę przecie walczyć z własnym zdrowym śmiechem. No! ale autor, przedmiot, społeczność? Tak, tak! Autorka — niepoczytalna i nieodpowiedzialna. Poczytalny i odpowiedzialny jest tylko jej syjoński wydawca. Ten zaś robi to, na co mu opinja Polski „niepodległej" pozwala. Co do przedmiotu — dzieło to pozostanie pierwszerzędnym dokumentem czasu w archiwum

państwa, w historycznym dziale najniższego upadku moralnego. Mamy taki dział z wieku osiemnastego, możemy mieć i z dwudziestego. Co do społeczności — album w cenie rynkowej jest, niby goleń świńska, tak nasolone, że rozejdzie się tylko w sferze warszawsko-krakowsko-lwowskich bankierów. Niech sobie żrą dowoli! Mają oni z polskiego niedołęstwa lepsze jeszcze, choć tylko jarskie, przysmaki, niech pokosztują pasztetu z móżdżku pani Stryjeńskiej. A zagranica? Mniejsza o zagranicę! Zajmijmy się lepiej trzeciem oto *signum temporis*.

Osiedlił się w Warszawie rzeźbiarz nazwiskiem Szukalski. Artysta utalentowany, ale jeszcze wiatrogłowy. Narobił w swoim czasie hałasu w Krakowie, teraz robi hałas w Warszawie. O jego wystawie pisałem przychylnie, ale z pewnemi „ale" w „Gazecie Warszawskiej". Wydał w ubiegłym tygodniu ulotkę p. t. „Czas na was, krytycy zawodowi, rajfurzy Zachodu!" Treść ulotki w zasadniczych linjach słuszna, ale spaczona i zbrudzona dwiema wadami wykonania. Popierwsze, autor nie umie pisać. P. Szukalski zgodzi się ze mną, że rzeźbiarz powinien umieć rzeźbić. Otóż tak samo—pisarz powinien umieć pisać czyli — myśleć. Chaos i niedołęstwo słowa, świadczy niezbicie o chaosie i niedołęstwie myślenia. Podrugie, autor posługuje się językiem i stylem marszałkowskim, czyli — rynsztokowym. Obie wady w znacznym stopniu osłabiają przebieg rozumowania i możliwość wpływu na opinję, do której autor w ostatecznych wnioskach apeluje. Niema nic gorszego, niż zła obrona dobrej sprawy.

Wystąpienie p. Szukalskiego zbiegło się niemal co do czasu z moim szkicem p. t. „Krytyka", drukowanym na tych tu łamach w dniu 29 grudnia roku minionego. Ja także ostro zaatakowałem krytykę warszawską, ale nie ordynarnie. Skutki społeczne obu wystąpień będą tymczasem jednakowe t. j. — żadne. Tego w warszawskiej krytyce dziennikarskiej bagna oportunizmu i tchórzostwa (z prawicy), bezczelności i zuchwalstwa (z lewicy), oraz nieuctwa (z prawo-centrolewu) nie osuszy jedno i drugie dmuchnięcie. Mimo to... dmuchajmy, skoro taki nasz los. Natomiast osobiste skutki obu wystąpień będą różne. Ja przerąbałem się już przez nie dawno w kierunku własnego, samotnego wyżu i mieszkam wysoko, ponad Warszawą. Zaś p Szukalski szuka echa, reklamy i karjery artystycznej w stolicy, a że popełnił nieostrożność w wytykaniu krytykom ich żydowstwa, przeto naraził się „opinji" stołecznej śmiertelnie, a skutkiem tego straci echo, reklamę i karjerę. Na nic nie zdadzą się hałasy amerykańskie, na nic chwyty chicagowskie i niujorskie sposoby. Na nic wysokie protekcje w legendarnym cieniu miecza Bolesławów. Prędzej czy później zamrozi artystę lodowata bryła milczenia, albo go spali żywcem stos nienawiści, albo w gliniance go spławi bandyckie oszczerstwo.

Pominąwszy przykrą ordynarność i chaotyczne niedołęstwo ulotki, w tem wystąpieniu artysty, który mieni się piłsudczykiem, tkwi także godny uwagi znak czasu. Mniejsza o „zgniły Zachód" w mniemaniu artysty („gniłoj Zapad"), mniejsza o charkowski wschód jego przeciwstawienia, mniejsza o wiele naiwności i nieprzemyśleń p. Szukalskiego. Grunt w tem, że artysta odwołuje się do rasy i kultury polskiej, że na rodzimej glebie chce budować gmach twórczości i przyszłości narodu polskiego, że w naród ten z całym zapałem wierzy, a instynktem i krwią do syjońskich trucizn odrazę czuje. Nie poraz pierwszy i nie w tej jednej dziedzinie, w sposób nieprzewidziany ze sfer najmniej o to podejrzanych wyrywa się na światło dzienne tłumiony przez mafję głos krwi szlachetnej. Szersze oddolne warstwy narodu polskiego, z których pochodzi także p. Szukalski, długo okłamywane, oszukiwane, tumanione, po wertepach międzynarodówki włóczone, socjal-wyskokami pojone, marksowskim denaturatem trute, na materjalistycznem pojmowaniu dziejów głodzone, w samobójczą politykę wciągane, w błazeńskie szaty cyrkowej „kultury" na pośmiewisko strojone—dziś oto nagle same budzą się z katalepsji, powstają z epilepsji, a tu i ówdzie rozlega się krzyk — dziki jeszcze, wschodni, ale zdrowiem groźny: „Psia krew! Oszuści! Łajdacy! Rajfurzy syjońscy! Czas na was, do stu czartów! biesy, krwią ludów tuczone!"

Nie przeszkadza to jednak, że ulotkę sprzedaje skład główny w samem gnieździe rajfurów... w „Ziemiańskiej" umieszczony. Nasze żydki odczuwają szczególną przyjemność w podniecaniu i puszczaniu młodego koguta do walki, chociażby zapaśnik i ich ranił dziobem i ostrogami. Obsiedli Polskę dokoła, jak gracze arenę kogucią. Wierzą w swej pysze, że w każdej chwili niewygodnego awanturnika w kojcu zamknąć potrafią. Tymczasem niech pieni się i pieje, a krwawo! Nabierze wprawy, zachłyśnie się nienawiścią, oślepnie, a wtedy już go oni w odpowiednim kierunku nastawią. Tak myślą oni, bo oni myślą. Dobrze byłoby, żeby i koguty myśleć i rozumować zaczęły.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

TEATR

WILKI W NOCY

Po JAKIEGO licha wyciągnięto z szafy ten zapomniany szpargał?

Tadeusz Rittner bywał komedjopisarzem świetnym. Pozostawił po sobie szereg dzieł wysoce wartościowych. Rozumielibyśmy doskonale i ocenilibyśmy należycie pomysł wznowienia „Głupiego Jakóba" lub „W małym domku". Ale „Wilki w nocy"? Po co? Przecież to płód poroniony!!

Papier! Papier! Papier!

Ze wszystkich osób, występujących w tej sztuce jedna tylko jedyna, drugorzędna figura Radczyni ma parę kropelek krwi i odrobinę kości. Reszta to widma, cienie, blade fantomy, larwy z seansu spirytystycznego, udające żywych ludzi, w najlepszym zaś razie kukły, lale, łątki, marjonetki, automaty, pałuby.

Pałuby owe noszą pseudonimy polskie, ale psychologję posiadają marsjańską, obyczaje zaś secesyjno-lodomeryjsko-księżycowe. Nie wierzymy im wcale, gdy się przed nami wywnętrzają, zakłamane są bowiem, prawie tyle samo, co powieściowe figury Przybyszewskiego.

Ileż fałszu w tej rzekomo skrzywdzonej przez los prokuratorowej, która nie ma dziecka i podobno wskutek tego obdarza czule tkliwem, pseudomacierzyńskiem uczuciem niemiłosiernie jaskrawego kabotyna, sądzonego właśnie z oskarżenia jej męża za zabójstwo! Ileż załgania w drugim typie kobiecym, w owej Żanecie Dylskiej, którą autor przeciwstawia symetrycznie prokuratorowej, jako „urodzoną kochankę", całkowicie wyzutą z instynktów macierzyńskich. Typy męskie jeszcze bledsze od kobiet. Jeszcze bardziej papierowe. Najsłabszy zaś ze wszystkich, to ów kabotyn—zabójca—protestująca deklamacją, ofiara nienawistnego autorowi porządku filistersko-społecznego. Przy tem wszystkiem absolutny brak poezji, „subtelność" sztuczna, naciągana kombinacyjność i ciągłe niedomówienia, spowodowane poprostu—brakiem czegokolwiek do powiedzenia.

Pomimo doskonałej gry pani Przybyłko-Potockiej, pani Modzelewskiej i panów Stanisławskiego, Daczyńskiego i Grabowskiego, którzy robili wszystko, co mogli, żeby papier ożywić, przedstawienie było potwornie nudne: szczęki bolały od ziewania.

W dodatku pokazano nam na scenie zgrywającą się niemożliwie kilkoletnią dziewczynkę, która stanowczo o tak późnej porze powinna być w łóżku. Co z tego dziecka wyrośnie? Jakiem prawem aktorzy je deprawują, tocząc w jego obecności rozmowy najniewłaściwsze dla jego uszu? Co na to policja? Co na to cenzura? Co na to Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami?

ZASTĘPCA

OFENSYWA

JOURNAILLE i KLERKI

CZYTALIŚMY niedawno notatkę obiegową, że zmarli ongiś dziennikarze francuscy Camille Ferron i Chilibert Frank zostali wciągnięci na listę mężów czcigodnych, zakwalifikowanych do procesu kanonizacyjnego czyli w następnej fazie w poczet błogosławionych.

Piękne to jest i zaszczytne dla zawodu dziennikarskiego, że zyskałby sobie takich patronów. Będą to ewentualnie zdaje się pierwsi święci, którzy za życia oddawali się takiemu posłannictwu, mającemu w sobie też coś z misjonarstwa.

Równocześnie atoli niema dziś zawodu nowoczesnego, którymby tak starała się zawładnąć i któryby tak zwolna już opanowywała nieprzyjemna i nieapetyczna hołota, a mówiąc poprostu tu i ówdzie *canaille*, a bywa, że i *„swołocz"*. Jak wiele objawów nowoczesności wstrętnych i odrażających, tak i ta choroba cywilizacji idzie z... *Dollarici*. Tam stała kolebka prasy „informacyjnej" t. j. *yellow press*, co znaczy równocześnie żółtej i niskiej, czyli płaskiej. Z za oceanu przeszło to paskudztwo na nasz kontynent. Kolumbem tego plugastwa, tego raka toczącego nową cywilizację XX wieku był żyd węgierski Pulitier. Jego biust powinien stać w paradnej sali każdego „pałacu prasowego" każdego Poranniaka, Czerwoniaka, Warchlaka, Dobijaka, Expressiaka i t. p. W Ameryce te gigantyczne lupanary opinji publicznej przez długi czas rządziły niepodzielnie. Obecnie dopiero zaczynają się brać do nich i cokolwiek bandom takich „dziennikarzy" patrzeć na łapy, a tu i ówdzie nakładać im kajdany na łapy a kaftany bezpieczeństwa na grzbiety. Wielkiemi miastami, ulicą, placami, kanalizacją, rynsztokami i motłochem te „wytwórnie" rządzą niepodzielnie, ale inteligencja polityczna po obu stronach Wielkiego Stawu już wyzwoliła się z pod terroru rozwielmożnionej hołoty „prasy informacyjnej", wraca do pism politycznych... partyjnych, a dwunożnych wyżłów i kundlasów z „Kikerów" zrzuca tam służba ze schodów. Era, w której Hearst i Ochs w Ameryce gnietli Kongres, gubernatorów poszczególnych Stanów, trusty i „dziesięć tysięcy" miljonerów już minęła.

Ważne atoli jest to przedewszystkiem, że już cały szereg uczonych i literatów w poważnych tomach i udałych utworach prezentuje Zachodowi fatalne następstwa rozwielmożnienia się tej zbrodniczej tandety dziennikarskiej. Już tam zdają sobie dokładnie sprawę z tego, jak niszczy pola ta szarańcza. Już się wszystkim poważnym socjologom, prawnikom, politykom otwarły oczy na konsekwencje kulturalne dalszego w tem tempie rozwoju w organizmie społecznym tej kiły, tego syfilisu jakim jest prasa żółta, czerwona, kurjerkowo-ilustrowana, rynsztokowa. Zdają tam sobie dokładnie sprawę z tego, ile w sumie pozytywnego dla ustroju burżuazyjnego zrobiła prasa brukowa, odciągając masy od lektury pism społecznie radykalnych, względnie wywrotowych, ale równocześnie nie zamykają oczu na spustoszenie etyczne, na demoralizację, na wzrost kryminalistyki i na potworne ogłupienie, skretynianie mas wielkomiejskich. Jak poważni uczeni, tak też i wybitni beletryści Zachodu i dalekiego Zachodu z całą stanowczością przeciwstawiają się dalszemu rozwojowi takiej prasy, odgradzają się energicznie od poparcia i protekcji potentatów tej prasy i ci ostatnio występują już aktywnie przeciw tej zarazie XX wieku.

Najpoważniejszych argumentów do nadchodzącej walki z tą kiłą, z tym „przymiotem" żółtej i czerwonej prasy dostarczył Amerykanom B. Brasol w dziele p. t. *„Crimogenic Headliness in the Daily Press"* głównie w rozdziale p. t. *Element of Crime* (1927) gdzie udowadnia, jak to t. zw. nagłówki, tytuły wrzeszczące opowiadanych kryminalnych wykroczeń wpływają na wzrost zbrodniczości w Stanach. Francuskiem *pendant* do tego jest dzieło dr. J. Druhena p. t. *„De l'influence du journalisme sur la Santé du corps et de l'esprit"*. Należałoby, aby nasi prawodawcy zapoznali się co prędzej z temi dziełami. Obok Brasola stanął mężnie znakomity powieściopisarz Upton Sinclair, który, ryzykując swą popularność całą rzucił w publiczność swoje: „oskarżam" p. t. *„The Brass Check. A study of American Journalism"*, gdzie napiętnował w druzgocący sposób korrupcjonizm tych wielkich oszukańczych przedsiębiorstw wielkokapitalistycznych, często udających także walkę z kapitalizmem. Specjalnie zaś rozrost zbrodniczości, samobójstw i seksualnych wykroczeń w Stanach pod wpływem czerwonej prasy studjował i opracował potem Delos T. Wilcox.

W Anglji mocną satyrę na tego typu „dziennikarzy" dała młoda, bardzo ceniona powieściopisarka Rose Maculay (autorka „Tajemnic Genewy") w powieści p. t. *„Potterich"* ale trzeba też zaznaczyć, że już w całym szeregu powieści innych gatunek reporterów z takich potwornych trucicieli jak np. *„The News of the World"* i z brukowców „lordów" Rothermere'a i Beaverbroocka traktowany jest jako odmiana, jako *species* urodzonego kryminalisty, który tylko przypadkowo *crimina* nie popełnia ale węszy, tropi i smacznie apetytnie opisuje. We Francji walczyli z *„Matin'*ami" i *„Journal'*ami" i ich potomstwem kolejno Bazalguette, Laurent Tailhade, Urban Gohier i inni aktywnie, cały zaś świat pisarski, szanujący się, z prasą brukowo - bulwarową stara się nie utrzymywać żadnych stosunków i współpracą swoją nie przyczyniać się do rozrostu „lupanarów prasowych"; autorami dla szmat sensacjonistyczno - pornograficznych są tacy panowie jak Margueritte, Decobra, Italjanin Pittigrilli, Anglik Wallace i t. p.

Jak jest więc u nas? Mówiąc generalnie i sumarycznie: bardzo niedobrze. Od dziesięciu lat rozrosły się w Krakowie i w Warszawie trzy wielkie lupanary opinji, do których w biały dzień wchodzili sobie wybitni mężowie polityczni, aby z balkonów tych prasowych domów publicznych przemawiać do publiczności. W tych rynsztokach prasowych kąpali się *coram publico* działacze rządowi i parlamentarni. Odkąd p. Piłsudski przerwał bojkot moralny „Kurjera Porannego" za jego przykładem poszli pp. Ausz, Thugutt, Moraczewski, Lednickij, Dąbski, Skrzyński, Zaleski i t. d., brukowy Poranniak domu Fryze, mający najgorszą opinję w Polsce awansował na poważny organ polityczny. Z całym cynizmem na tej prasie przekupnej i kupczącej oparł się *regime* sanacyjny, moralnie okupacyjny, obdarzając przedsiębiorców tych zamtuzów subsydjami, orderami i zaszczytami, omal że nie tytułami lordów. Stąd też ta ochlokracja nabrała barwy kochlokracji, skoro organami rządzących stały się organy stróżów, dryndziarzy, pomywaczek i magla...

Zło, *pestis perniciosissima* zaczyna się jednak wtedy, gdy na takie bagna, gdy w takie błota, gdy na te gnojowiska żółtej, czerwonej, kurjerkowej prasy zaczynają schodzić reprezentanci duchowego życia narodu, jego elita intelektualna. Bieda i nędza ogólna w Polsce zmusza i intelektualistów i do takich, niepraktykowanych na Zachodzie kompromisów z chamstwem wielkomiejskiem. Co jakiś czas któryś z trzech wielkich handlarzy sensacyj w Polsce zakupuje, funduje sobie, bierze na utrzymanie któryś talent literacki. Jakiś czas taki talent wegetuje i na rynsztoku brukowca, czerpiąc podnietę w reklamie i popularności, stając się feljetonową Halamą czy Kiepurą, kokietując hołotę czy kokietując i mizdrząc się do motłochu czytelniczego takich Czerwoniaków, Poranniaków czy Dobijaków. Wyssany, skompromitowany, zwulgaryzowany i splugawiony talent, przedsiębiorca potem bez skrupułów i bez ceremonij wyrzuca „na bruk". Dla handlarzy sensacjami i reprodukcjami *girls'*ów i golasów pp. Wierzyński, Rzymowski, Żeleński znaczą tyle co dziewczyny, stające do konkursu *miss Polonia*. Ani o złocisza więcej. A co się dzieje z talentami? To widzimy po Żeleńskim, Rzymowskim, Wierzyńskim, nie mówiąc już o innych męskich Halamkach..

Czas już aby i w tym kierunku nastała jakaś sanacja *à rebours*, jakaś wielka przemiana. To „dawanie się kupować" przez kurjerki, ilustrowane golasami, jest polskiem *„trahison des clerques"* zdradą intelektualistów. Taka prostytucja nie wychodzi im na zdrowie i nie przysparza laurów. Kupowani są za tani „piniondz" i po roku służby w lupanarze wychodzą jak wiechcie, jak ladacznice. Trudno nawet współczuć z nimi, gdy ich wyrzucają na trotuar, angażując młodsze „dziefczynki", jeszcze „weselsze" i jeszcze bardziej... dekoltowane wobec... gości.

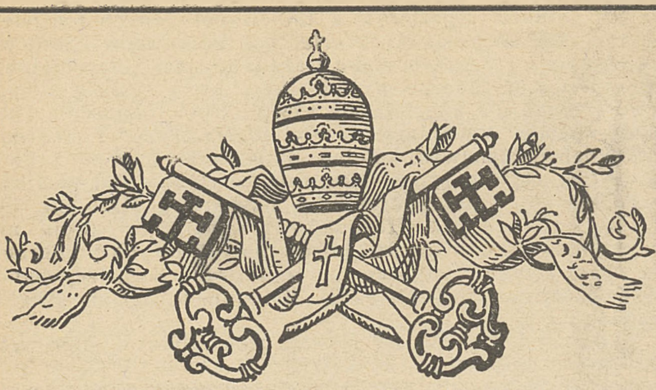
ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Klub Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, jedyny z pośród polskich klubów sejmowych, głosował na posiedzeniu komisji budżetowej sejmu przeciwko przyznaniu kredytu w wysokości 100.000 złotych na odnowienie kościoła Marjackiego w Krakowie. Na taką im się oszczędność zebrało! Tak obojętny im jest najpiękniejszy bodaj pomnik polskiego budownictwa!... A ileż to pieniędzy wydano bezmyślnie na budowę bardziej... aktualnych pomników, brzydactw kamiennych i śpiżowych, które niedługo już trzeba będzie zacząć systemacznie burzyć?... Barbarzyńcy!

*

Czytamy w dziennikach sensacyjny komunikat o kradzieży w sklepie jubilera, ale najciekawszy szczegół z tego opisu jest ten, że rabunku złodziej dokonał „w sposób zagraniczny". Że też my nie możemy sie pozbyć pokory zaścianka wobec „zagranicy". Nawet złodziejom swoim odmawiamy talentu! Czyż nas nie stać na nic oryginalnego?! Dojdzie do tego, że pisać będziemy: Zgnął generał w sposób — zagraniczny....



RZECZ O STOLICY APOSTOLSKIEJ I OJCZYŹNIE NASZEJ

NAPISANA PRZEZ

ST. SZCZUTOWSKIEGO

I DRUKOWANA W „ZORZY“ W CIĄGU UBIEGŁEGO ROKU, OBECNIE UZUPEŁNIONA, WYSZŁA Z DRUKU JAKO ODDZIELNA KSIĄŻKA OZDOBNA, Z PORTRETEM OJCA ŚW. I RYCINAMI POD TYTUŁEM

OPOKA PIOTROWA

CENA EGZEMPLARZA — 3 ZŁ.
NA PAPIERZE WELINOWYM — 4 ZŁ.

PRENUMERATOROWIE NASI PO WPŁACENIU NALEŻNOŚCI NA KONTO CZEKOWE P.K.O. 31.05 KOSZTÓW PRZESYŁKI NIE PONOSZĄ.

NAKŁADEM TOW. WYD.

„PATRIA“

SPÓŁDZ. Z OGR ODP.

WYSZŁY KSIĄŻKI:

Joachim Bartoszewicz
ZAGADNIENIA POLITYKI POLSKIEJ

Wstęp. — Państwo narodowe. — Ustrój federacyjny — Republika-monarchja. — Ustrój władz. — Sprawa mniejszości.—Terytorjum i granice.—Polski patrjotyzm.

CENA 3 ZŁ.

Zygmunt Wasilewski
PIEŚŃ W GÓRACH

Przedmowa. — Do słońca. — U źródeł. — Tragedja muzyka. — Poeci w Tatrach. — Na wyżynach kultury.

CENA 5 ZŁ.

Skład główny w księgarni Ossolineum w Warszawie Nowy-Świat Nr. 69.

PRACOWNIA i MAGAZYN

Wyrobów Podróżno-skórzanych

JAKO TO:

KUFRY, WALIZY, NESESERY, TOREBKI DAMSKIE, PORTFELE, TEKI BIUROWE, PORTMONETKI I T. P.

A. CHAJĘCKI

WARSZAWA,

CHMIELNA 35. TELEF. 212-15.

SAMOLOT

zapewnia podróż

szybką–bezpieczną–wygodną–przyjemną–zdrową

dając

pełne zadowolenie.

TREŚĆ: Obowiązki zwycięzców *Wł. Konopczyńskiego.* — Mocarstwowo na bałałajce *W. J. C.* — O Polakach na Bliskim Wschodzie *Wł. Fołkierskiego.* — Na widowni *Digammy.* — Ze świata *Wł. Pelca.* — Wychowanie narodowe *J. B.*—Nauka i literatura. („Lenin“ *W. J.* i t. d.) — Sztuki plastyczne *St. Pieńkowskiego.*—Teatr *Zastępcy.* — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administacji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**.
Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57, Zielna 47 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.